



KRYZYSOWY  
PLAN  
ŻYCIOWY

Monika Hołyk-Arora

**Monika Holyk-Arora**

**Kryzysowy plan życiowy**

© Copyright by Monika Hołyk-Arora & e-bookowo

Projekt okładki: Lan Gao

ISBN e-book 978-83-7859-885-5

ISBN druk 978-83-7859-889-3

Patronat medialny:



Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo

[www.e-bookowo.pl](http://www.e-bookowo.pl)

Kontakt: [wydawnictwo@e-bookowo.pl](mailto:wydawnictwo@e-bookowo.pl)

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości

bez zgody wydawcy zabronione

Wydanie I 2017

Konwersja do epub A3M Agencja Internetowa

## Rozdział I

Zaplątana w elementy tworzące paralełę prawdziwego życia utkanego przez sieć niedomówień, niespełnionych obietnic i... Moment! Co też ja plotę? Miało być mądrze, ale nie nudno i pseudointeligencko! Chyba zacznę jednak od kilku podstawowych faktów.

Tamtego pamiętnego poranka, kiedy to zaczyna się moja opowieść, obudziłam się punktualnie o siódmej trzydzięci rano. Nie potrzebowałam budzika! Mój wewnętrzny zegar z dokładnością co do nanosekundy wiedział, kiedy należy zmusić mnie do otwarcia oczu i rozpoczęcia kolejnej doby. Porzucając ciepło gwarantowane przez miękką kołdrę, wstałam, obmyłam twarz w strumieniu niemal lodowato zimnej wody i, wciągając po omacku dres, zawołałam psa, który od kilku chwil niecierpliwie spoglądał to na mnie, to na drzwi wyjściowe.

Spacerując w szarym świetle nowego dnia, mijałam dziesiątki ludzi, którzy śpiesząc się do pracy, tworzyli tłum samotności. Uśmiech, czy chociażby zdawkowe skinienie głowy, stanowiły złamanie niepisanych reguł gry. Radosne poszczekiwanie psa dobiegające do ich uszu było zakłóceniem spokoju. Karą za które były karcące spojrzenia rzucone w moim kierunku. Udając, iż ich nie widzę, parłam przed siebie. Po powrocie do domu szybko nastawiłam ekspres do kawy i pobiegłam wziąć prysznic.

Zastanawiacie się pewnie, dlaczego tak dokładnie pamiętam szczegóły tamtego dnia, zupełnie jakby wydarzył się wczoraj, a nie kilkanaście miesięcy temu. Cóż, chyba trudno to wytłumaczyć jednoznacznie... Nie, znowu brnę w filozofowanie o niczym. Słownik języka polskiego pod literą R zawiera w sobie wytłumaczenie tego stanu rzeczy i sprowadza się do jednego, prostego terminu – RUTYNA! Ta pierwsza godzina mojego dnia mogła wydarzyć się równie dobrze właśnie wtedy, jak też tydzień później lub miesiąc wcześniej! Tych kilka podstawowych czynności, powtarzanych każdego poranka, mogłam wykonywać ze szwajcarską precyzją, bez otwierania chociażby jednego oka!

Cóż, życie nigdy nas nie rozpieszcza, jednak sądzę, że ta rutyna i znajomość następujących po sobie wydarzeń jawiła się w moich oczach jako swoistego rodzaju poczucie bezpieczeństwa. Przecież rutyna to też gwarancja braku niespodziewanych, czasem nieprzyjemnych wydarzeń!

Nie mniej jednak wtedy nie zdawałam sobie sprawy z tego wszystkiego. Po prostu chwyciłam swój ulubiony kubek i napełniłam go gorącym, czarnym, aromatycznym naparem bogów, przynajmniej tych z Ameryki Południowej. Bez chwili namysłu zasiadłam przed migoczącym ekranem komputerowym i zaczęłam swoją codzienną prasówkę.

Kilka dziecinnie prostych kliknięć wystarczyło, by otworzyć stronę

popularnego plotkarskiego portalu. Nie ważne jest czy była to strona kundelka, czy też raczej ratlerka.pl. Słucham? Nie czytujesz tego typu rzeczy? Och, proszę! Nie musisz się do tego przyznawać przede mną czy kimś zupełnie obcym, ale chyba powinnaś być szczerą względem samej siebie! Ta poranna dawka idiotycznych informacji dotyczących prawdziwych i wydumanych plotek na temat tego, kto z kim się przespał albo kogo pobił, ewentualnie co sobie zmniejszył, powiększył lub napompował, pozwala oderwać się od szaleństwa dnia codziennego! Nawet teraz, po upływie tak długiego czasu, nadal zaglądam tam nad wyraz chętnie!

Chyba jednak nie od swoich preferencji internetowych powinnam była zacząć. Cóż, wspomnienia na chwilę sprawiły, że zapomniałam o podstawowych manierach! Nazywam się Elżbieta Svensson i mimo obco brzmiącego nazwiska, jestem stuprocentową Polką (pradziadek z Niemiec się nie liczy, prawda?). Moje pochodzenie zawsze było i jest powodem do dumy. Niejednokrotnie jednak bywało też przyczyną wielu nieporozumień i pretekstem do traktowania mnie jak obywatela drugiej kategorii. Zaraz, zaraz! Czyżbym mówiła otwarcie o uprzedzeniach narodowościowych występujących w zjednoczonej Europie? Hmm, czy to oby na pewno jest poprawne politycznie? Chyba nie! A może i tak? Niezależnie jak to z tym jest, prawda wygląda właśnie tak, a ja nie zamierzam zamiatać faktów pod zakurzony dywan konwenansów!

Wracając jednak do głównego tematu i pozostawiając za sobą sprawy drugorzędne, powinnam chyba wspomnieć, że dokładnie trzydzieści miesięcy przed nadejściem tamtego dnia wyszłam za mąż za mojego męża (no, bo przecież nie można wydać się za mężczyznę należącego do innej kobiety, prawda?). O.K., O.K. istnieją różne cuda na tym świecie, o których nie śniło się filozofom, nie mniej jednak wtedy tak właśnie mi się zdawało. Zaczęłam nowe życie w kraju mlekiem i miodem płynącym. Tak przynajmniej jawił się on większości moich ówczesnych znajomych, którzy w jednej chwili porzuciliby codzienną egzystencję na granicy wegetacji i zamieszkali w gościnnej, liberalnej i bogatej Skandynawii. Cóż, wierzyłam tym wszystkim opowieściom. Znajdowały one odzwierciedlenie w wizjach roztaczanych przede mną przez przystojnego kawalera, któremu w końcu udało się mnie zaobrączkować i przywieźć do krainy Wikingów.

Nie zawsze jednak piękne bajki stają się rzeczywistością, a prawda czasami okazuje się nieco inna. Bardzo szybko, bo tuż po zakończeniu miesiąca miodowego, stałam się kurą domową. Tak właściwie, to kto wymyślił to pejoratywne określenie przyrównujące kobietę do drobiu? Chętnie przedyskutowałabym parę kwestii z tą osobą, ale pewnie nigdy nie będzie mi dane spotkać tego koguta! Nie mniej jednak, od niemal trzydziestu miesięcy dbałam o dom, gwarantowałam ciepłe posiłki o wyznaczonych porach, prasowałam

mężowskie koszule i zawsze, ale to zawsze musiałam wyglądać wprost rewelacyjnie. Nie, nie grałam w żadnym reality show typu „Bogate żony Hollywood” czy też jakiegoś innego zakątka Ameryki. Nie, nie brałam też udziału w Skandynawskim odpowiedniku tej, zdaniem wielu, niezwykle wciągającej serii. Po prostu spełniałam życzenie poślubionego przeze mnie mężczyzny.

Pytasz co z pracą? Hmm, Håkan doszedł do wniosku, że przy jego dochodach nie ma potrzeby, bym zarabiała. Przecież żona stojąca za ladą czy nawet siedząca przy biurku byłaby skazą na jego wizerunku obiecującego pracownika kadry wyższej. Tak więc miałam nic nie robić... Przynajmniej poza czterema ścianami wygodnego, nowoczesnego mieszkania, które kupił tuż przed naszym ślubem.

Moment! Znowu zaczynam przynudzać, prawda? Nie chciałam tego robić, a przynajmniej nie na samym wstępie! Musiałam jednak pokrótce naświetlić okoliczności w jakich znalazłam się tamtego dnia. Sytuację, której mizerności nie rozumiałam przez cały okres poprzedzający tamten poranek. Jej powagę pojęłam dopiero za sprawą wspomnianego już kundelka.pl, który w jednym z artykułów przedrukował (czy można w ogóle użyć tego terminu względem internetowych wiadomości?) fragment wywiadu udzielonego jednemu z kolorowych magazynów przez celebrytkę o dźwięcznym imieniu Kasia. Nie pytaj któremu, bo tego akurat nie pamiętam.

Owa gwiazdka pierwszego formatu, lśniąca na firmamencie polskiego showbiznesu i ekranach naszych telewizorów, stwierdziła, iż po ślubie naszły ją wątpliwości co do słuszności zawarcia związku małżeńskiego. Przejawem tego dylematu zaś była obrączka założona przez oblubieńca na jej serdeczny palec, która niekiedy zbyt jej ciążyła.

Pamiętam, że kiedy skończyłam czytać ten krótki fragment, opatrzony przez redaktora przynajmniej setką kolorowych zdjęć aktorki, właściwie po raz pierwszy w życiu tak dokładnie przyjrzałam się swojej własnej obrączce. Pojawienie się tego niewielkiego przedmiotu zmieniło praktycznie wszystko w moim życiu, sprowadzając mnie do kraju na północy Europy, gdzie ludzkie serca zmrożone wieczną zimą nie potrafiły odtajać na tyle, bym mogła z czystym sumieniem określić kogoś mianem mojego przyjaciela.

Jak w transie, spojrzałam wtedy na kombinację białego i złotego złota, które tworzyły skomplikowany wzór i niezwykle tło dla szeregu diamentów skrzących się niczym gwiazdy na mitycznym nieboskłonie miłości. Być może uległam sile sugestii lub uwierzyłam w przekonującą moc słów celebrytki, ale poczułam, że i mi ten kawałek metalu ciąży na palcu niczym kamień sprowadzający mnie na samo dno rozpaczy.

Zamknęłam oczy i, biorąc kilka głębokich wdechów, próbowałam zignorować to nieprzyjemne uczucie, składając je na karb autosugestii. Niestety od

tamtego momentu zaczęło mi ono towarzyszyć niemal nieprzerwanie i stało się przekleństwem następnych kilkudziesięciu dni. Wyczuliło mnie jednocześnie na pewne sprawy i zaczęłam je postrzegać z zupełnie innej perspektywy, której nie rozważałam nigdy, aż do tamtego poranka.

Z pozorów niewinne zdarzenia, uwagi i rzucone mimochodem słowa zaczęły nagle układać się w logiczną całość, która ukazała mi prawdę na temat mojego życia, związku i osoby, którą się stałam. Ale by o tym opowiedzieć, mam do dyspozycji całą książkę...

Zanim jednak miałam okazję wy badać uczucia małżonka, musiałam przygotować się do służbowej kolacji. Podczas tego spotkania zobowiązana byłam sprawiać dobre wrażenie i podtrzymywać niezobowiązującą, ale błyskotliwą i interesującą konwersację zarówno z szefami Håkana, jak i ich osobami towarzyszącymi. Cóż, jeszcze jeden obowiązek żony bogatego męża, który przyszło mi wypełniać.

Zakładając jedną ze „służbowych” małych czarnych wiszących zawsze w zgrabnym szeregu w garderobie, z niemałym zaskoczeniem odkryłam, że niestety mam trudności z dopięciem zamka. Próbując raz po raz poskromić metalową bestię, doszłam do oczywistego w tej sytuacji wniosku – sukienka zbiegła się w trakcie ostatniego prania chemicznego. Zdesperowana i zmęczona bezskutecznymi próbami, zwołałam w końcu męża, by przyszedł mi z pomocą.

– Kochanie! Czy możesz tu przyjść na momencik – mruknęłam słodkim głosem, którego ton miał chyba zamaskować wątpliwości tłące się we mnie od rana.

W ciągu zaledwie kilku sekund ujrzałam głowę z burzą blond włosów wychylającą się z łazienki.

– Tak?

– Pomóż mi zapiąć suwak, sama nie mogę sobie poradzić...

Jego zgrabna sylwetka, wyrzeźbiona podczas godzin spędzonych na siłowni, zwinnym ruchem wślizgnęła się do pokoju. Idąc w moim kierunku, uśmiechnął się promiennie, tak, że niemal zmiękły mi kolana. Poczulałam wyrzuty sumienia...

– Wciągnij brzuch – nakazał w tym czasie Håkan, mocując się z zamkiem.

Odruchowo wykonałam polecenie i już po chwili usłyszałam charakterystyczny dźwięk zamka błyskawicznego, który opisał delikatną materię sukienki na moim ciele.

– Dziękuję – wyszeptałam nieco speszona faktem, iż tak niewiele było trzeba, by poradzić sobie z tym małym, nieposłusznym ustrojstwem.

– Nie ma za co kochanie, ale wiesz... – zaczął i zawahał się na jeden, krótki moment. – Chyba powinienem wykupić ci karnet na siłownię. Inaczej wkrótce



żadna z twoich kreacji nie będzie na ciebie pasować...

Z wrażenia, chociaż właściwie powinnam mówić o oburzeniu, odebrało mi mowę! Zagotowałam się w środku, próbując nie zwerbalizować uczuć, jakie się we mnie zrodziły. Jak on w ogóle śmiał mi powiedzieć, że jestem gruba? Bo przecież z jakiego innego powodu nagle miałabym zacząć uczęszczać do klubu sportowego? Niedoczekanie jego!

– Czyżbyś coś sugerował? – zapytałam po chwili, dając mu ostatnią szansę na wycofanie się z zaminowanego pola, po którym stąpanie mogło doprowadzić do wybuchu małżeńskiej sprzeczki.

Zmieszany, odchrząknął nieznacznie, próbując zamaskować w ten sposób swoje obawy, które nagle zagościły w jego świadomości.

– Jakby ci to powiedzieć? – zastanawiał się na głos, próbując ująć w słowa kwintesencję tego, co zamierzał mi za chwilę przekazać.

Mnie natomiast naszła ogromna ochota, by zdzielić go szczotką do włosów leżącą na pobliskiej toalecie. Być może nie była zbyt masywna, ale na pewno byłaby użyteczna w ataku na jego osobę.

– Przytyło ci się ostatnio! – wypalił w tym czasie Håkan – Po prostu zaniedbujesz się!

Poczułam jak coś w moim sercu pęka. Rysa widniejąca od rana na wizerunku szczęśliwej, przykładowej żony pogłębiła się. Postanowiłam jednak nie psuć nadchodzącego wieczoru, więc przełożyłam poważną rozmowę na inny termin.

– Cieszę się, słysząc jak dbasz o moje zdrowie i kondycję – odpowiedziałam nieszczerze, walcząc z ochotą na dodanie jakiejś, chociażby najmniejszej, uszczypliwości.

Kiedy tylko moja wypowiedź przebrzmiała w ciszy pomieszczenia, usłyszałam nieznaczne westchnienie ulgi. Nastrój nas obojga został uratowany! Cóż, przecież na tym mu zależało, czyż nie tak?

– Jutro wszystko załatwię – ucieszył się. – Dobrze, że podeszłaś do tego tematu z tak dużą dozą zdrowego rozsądku. Muszę przyznać, większość kobiet wpadłaby w histerię, słysząc prawdę na temat siebie samej. Właśnie to w tobie cenię, skarbie – dodał, wracając do łazienki.

Drzwi zamknęły się, odseparowując nas od siebie. Odetchnęłam z jednoczesną ulgą i paniką, spoglądając na odbicie w lustrze. Widząc smutne szaroniebieskie oczy i blond włosy bez żadnego widocznego połysku, zastanawiałam się, kim jest ta obca kobieta zerkająca na mnie co chwilę. W uszach zaś wciąż brzmiały mi ostatnie słowa mojego męża. Część z nich zasiała w moim sercu kolejne ziarna wątpliwości.

„Do jasnej Anielki” – pomyślałam, ciskając poduszką w stronę eleganckiej szafy, by chociaż w ten bezgłośny sposób wyładować kłębiącą się we mnie złość. –

„Ty mnie cenisz, a nie kochasz? To czym, twoim zdaniem, tak naprawdę jest nasz związek?”

Niezadane głośno pytanie zawisło w powietrzu niczym upiór przyszłości, która dopiero co miała się dokonać. Próbując zignorować jego obecność, opadłam na niewielkie krzesło stojące nieopodal mnie. Starając się powstrzymać się przed płaczem, który zrujnowałby mój makijaż, wykonałam powolny wdech. Usiłując uspokoić histerycznie bijące serce, tłumaczyłam sobie, że wszystko będzie dobrze, bo przecież nie może być inaczej. Zdrowy rozsądek, tak ceniony przez mojego męża, podpowiedział mi, iż w żadnym wypadku nie powinnam wyolbrzymiać sytuacji i wyciągać zbyt pochopnych wniosków na podstawie jednej wypowiedzi.

Wciągnęłam powietrze na tyle głęboko, na ile pozwalała mi zdecydowanie zbyt mocno dopasowana sukienka i zajęłam się ostatnimi przygotowaniami do wyjścia. W tym czasie raz po raz zerkałam na masywną obrączkę ślubną zdobiącą mój serdeczny palec.

## Rozdział II

Uśmiechając się raz po raz do mojej sąsiadki i bezpośredniej przełożonej Håkana, fantazjowałam w jaki sposób szybko i skutecznie mogłabym pozbawić ją życia. Nigdy nie lubiłam Malin Karlsson, która z fałszywym grymasem życzliwości od samego początku naszej znajomości próbowała wytknąć mi, najlepiej przy licznych świadkach, wszelkie uchybienia czy też ewentualne braki wiedzy.

Zadrą na naszej potencjalnej wzajemnej sympatii były telefony, zbyt częste w moim odczuciu, które co chwilę wykonywała w celu rozmowy z moim mężem. Dotyczyły one nie tylko spraw służbowych, ale w głównej mierze skupiały się na prywatnym czasie i planowaniu wspólnych wypadów do knajpy, baru, kina czy gdziekolwiek indziej.

Gdy wracam myślami do tamtego wieczoru, pamiętam dokładnie, jak spróbowała jeszcze raz wystawić mnie na ogólne pośmiewisko elity skupionej przy jednym stoliku. Czekaliśmy akurat na przybycie kelnera, który miał wręczyć nam menu, gdy usłyszałam jej słowa wypowiedziane dźwięcznym, radosnym głosem:

– Niestety, restauracja ta nie dysponuje kartami dań w języku polskim, droga Elizabeth. Myślisz, że poradzisz sobie z angielskim?

Malin zadała to pytanie na tyle głośno, by wszyscy dobrze ją usłyszeli. Jednocześnie przy każdym ze słów płynących z jej ust uśmiechała się słodko. Niemal zbierało mi się na mdłości. Gdy zaś ujrzała moją zaskoczoną minę, roześmiała się dość głośno, szczerze ubawiona swoim własnym żartem.

Zacisnęłam zęby, próbując powstrzymać nieprzyjemny komentarz, który aż prosił się o wygłoszenie. Od dobrych trzydziestu miesięcy rozmawiałyśmy po angielsku i nigdy nie podzieliła nas bariera językowa, której nie dałoby się pokonać! Na Boga, nawet teraz przemawiała do mnie w mowie pochodzącej z ziem Wielkiej Brytanii. Nie wspominając o fakcie, że od dłuższego czasu całkiem nieźle radziłam sobie również ze szwedzkim.

– Postaram się, – odpowiedziałam w końcu na tyle opanowanym tonem, na ile było to możliwe – ale w razie jakichkolwiek wątpliwości zwrócę się do ciebie o pomoc, ponieważ jak zawsze starasz się, bym czuła się swobodnie w waszym towarzystwie – dodałam z uśmiechem, dyskretnie zerkając na osoby zebrane przy stoliku.

Odniosłam wrażenie, że żona jednego ze starszych wspólników skinęła z uznaniem głową, słysząc moją ripostę. Czyżby również nie przepadała za tą wygadaną cwaniarą? Sama Malin wydawała się nieco zdziwiona moją odpowiedzią, ale nie skomentowała jej w żaden sposób. Jeszcze raz wyszczerzyła zęby w nieszczerym uśmiechu i przytaknęła lekko na znak zgody.

Niezdrową ciszę, która na moment zapanowała przy stoliku, przerwał młody chłopak, który zjawił się i wręczył każdemu menu. Zdecydowanym ruchem sięgnęłam po szwedzką wersję karty, dając tym samym znak Malin, iż jej wielkoduszna pomoc prawdopodobnie okaże się zbędna.

Mawiają: jaki początek, taki i koniec. Tamten wieczór był jedynie niechlubnym potwierdzeniem tej śmiałej tezy. Zanim skończyliśmy zajadać się przepyszna i delikatna Panna Cotta, doczekałam się jeszcze kilku impertynencji zgrabnie zawołanych w uprzejmych słowach, wygłoszonych przez elegancką kobietę emanującą swym seksapilem.

Wbrew oczekiwaniom, nie zraniły mnie one aż tak bardzo. Kilka z nich, zwłaszcza ta o mej infantylności, spłynęło po mnie jak po przysłowiowej kaczce.

Nie mniej jednak tamta kolacja była dla mnie bolesnym doświadczeniem. Zaś cios, który przeszył moją duszę na wskroś, zadany został przez mojego męża. Przyjął on formę komentarza, który został wygłoszony chwilę po naszym powrocie do domu. To wtedy, w odpowiedzi na moje zarzuty, iż Malin traktuje mnie wyjątkowo protekcjonalnie, uznając za głupią gąskę, która nic w życiu nie widziała ani nie przeżyła, stwierdził:

– Przesadzasz! – rzekł nieco wzburzonym tonem. – Zupełnie nie rozumiem, dlaczego przy każdej możliwej okazji próbujesz zdyskredytować ją w moich oczach. To wspaniała i życzliwa kobieta sukcesu, która przy każdej okazji wypowiada się o tobie w samych superlatywach!

– Jesteś pewny?

– Oczywiście, Malin nie ma w sobie nawet kropli złośliwości! – zapewnił mnie po raz kolejny.

– Tak? A żarty na temat mojego pochodzenia, nieznajomości szwedzkiego, a wręcz nawet angielskiego czy sugerowanie, że jestem infantylną kurą domową?

– Skarbie – Håkan odezwał się nieco cieplejszym głosem, próbując za wszelką cenę zakończyć tę, jego zdaniem bezsensowną, dyskusję – nie każdy może osiągnąć tak wiele w branży IT, co ona i prawdopodobnie z powodu tych różnic nie potraficie się właściwie zrozumieć. Ale pamiętaj kochanie, za wieloma mężczyznami, którzy szybko awansują po drabinie sukcesu, kryje się zawsze kochająca żona dbająca o ognisko domowe. Właśnie tak jest w naszym przypadku.

Dziś żałuję, że nie brnęłam dalej, próbując rozwinąć ten temat. Pozwoliłam mu sądzić, iż życie w złotej klatce wystarczało mi do osiągnięcia pełni szczęścia. Najbardziej jednak ubolewam nad tym, że po prostu wyszłam z pokoju, by uniknąć dalszej dyskusji. Gdybym tamtego wieczora została i uświadomiła mu, jakie wykształcenie odebrałam i co mogło mi ono, to być może późniejsze sprawy potoczyłyby się zupełnie inaczej. Chociaż kto wie? Może tak właśnie miało być?

### Rozdział III

Kładąc się spać tamtego wieczora, dziękowałam w myślach Bogu za sam fakt, że ten koszmarny dzień dobiegł wreszcie końca. Prawdopodobnie jednak zmówiłam tę dziękczynną modlitwę zbyt wcześnie, bowiem na ułamek sekundy przed zgaszeniem lampy Håkan obwieścił mi, jego zdaniem radosną, nowinę:

Kochanie, zapomniałem ci powiedzieć. Mama dzwoniła w zeszłym tygodniu. Przyjeżdża do nas na kilka dni z wizytą. Powinna tu być jutro po południu... Oczywiście zatrzyma się tutaj. Nie pozwolę jej spać w jakimś hotelu, więc proszę zmienić pościel w pokoju gościnnym i przygotuj wszystko na jej przybycie.

Nie czekając nawet na mój komentarz czy jakkolwiek odpowiedź, cmoknął mnie przelotnie w policzek, odwrócił się tyłem i zgasił światło.

Pamiętam, że leżąc w ciemnościach, zaczęłam zastanawiać się, kiedy tak właściwie staliśmy się sobie całkiem obcy. Dwoje ludzi mieszkających obok siebie, chociaż śpiących w jednym łóżku. Dzielące nas centymetry zazwyczaj były ogromne. Po prostu zbyt trudne do przebycia. Gdzie podziła się nagle namiętność pierwszych miesięcy naszego związku, a nawet małżeństwa? Kiedyś niemal każdą wolną chwilę spędzaliśmy na przytulaniu, całowaniu i innych cielesnych przyjemnościach przypisanych świeżo poślubionym małżonkom.

Spoglądając na sufit poprzez mroki nocy, próbowałam uświadomić sobie, kiedy zostałam sprowadzona do roli sprzętu domowego, który miał zapewnić komfort życia i funkcjonowania w obrębie modernistycznie urządzonego apartamentu w samym centrum Sztokholmu. Paradoksalnie mieszkanie, które zdaniem wielu moich znajomych z Polski stanowiło niedościgniony wzór najnowszych trendów obowiązujących w dekoracji wnętrz, w moim odczuciu nie miało nic wspólnego z domem pełnym ciepła i bibelotów przepelnionych wspomnieniami. Na próżno mogłam w nim też szukać zdjęć szczęśliwej pary, którą podobno tworzyliśmy.

Z każdym kolejnym wnioskiem, na idealnym obrazie mojego małżeństwa pojawiały się nie tylko rysy, ale też znacznie poważniejsze pęknięcia. Leżąc w ciemności, kilka centymetrów od spokojnie śpiącego Håkana, zastanawiałam się czy powinnam to wszystko na siłę naprawić, jakoś posklejać, czy też zezwolić, by zapoczątkowany przez los proces dopełnił dzieła zniszczenia fałszywego i zaburzonego obrazu otaczającej mnie rzeczywistości.

Po spacerze z psem, prysznicu, lekkim śniadaniu i przeczytaniu kilku stron, czyli tak naprawdę po godzinie spędzonej w zaklętym kręgu rutyny, wzięłam się za sprzątanie. Odkurzając z reguły nieużywany pokój gościnny, przygotowywałam go na przyjazd mojej teściowej. Nie, nie mogę powiedzieć, że była to zła kobieta. Owszem, zapatrzona w siebie i swojego ukochanego jedynaka, ale mimo wszystko

w jakimś tam stopniu sprawiedliwa. Przynajmniej z pozoru uwielbiała mnie i nazywała swoją córką. Nie wiem, ile prawdy się w tym kryło, bowiem nie miała szans na inną, lepszą synową i być może wszystkie te przejawy sympatii brały się właśnie z tej świadomości. Zastanawiasz się pewnie, dlaczego użyłam dużo mówiącego słowa „pozornie”, skoro tak ciepło ją wspominam. Cóż, ta wiecznie uśmiechnięta i przepelniona życzliwością kobieta stale próbowała coś zmienić we mnie samej, lub chociażby w domu, który w teorii powinien być moim.

Być może tamtego dnia byłam bardziej wyczulona na otaczającą mnie rzeczywistość i doszukiwałam się, niemal na siłę, kolejnych oznak klęski mojego małżeństwa, ale nie spodziewałam się zachowania, którym uraczyła mnie matka Håkana.

Kojarzysz „Perfekcyjną Panią Domu”? Tak? A jej słynny test białej rękawiczki? Cóż, nie wiem jak ty, ale Birgitta na pewno miała z nim styczność, chociaż ja nigdy nie spotkałam się z tego typu programem w szwedzkiej telewizji.

Niestety moja teściowa nie była tak świetnie przygotowana na inspekcję, którą przeprowadziła w przeznaczonym dla niej pokoju, dlatego zamiast słynnej rękawiczki posiłkowała się znalezioną na prędcie chusteczką. Zanim zorientowałam się, jakie są jej zamiary, przystawiła krzesło do szafy, wspięła się na nie i szybciotko przesunęła materiałem trzymanym w dłoni po szparze między wierzchnią częścią garderoby a ścianą. Uczyniwszy to, triumfalnie zsunęła się z krzesła i pokazała mi smugę kurzu, która pojawiła się na śnieżnobiałej do tej pory materii.

– Nie martw się, moje dziecko – dodała uspokajająco – Zaraz tutaj posprzątam!

Zanim zdołałam otrząsnąć się z szoku wywołanego tym dziwnym zachowaniem, moja najdroższa teściowa zniknęła na moment, by powrócić uzbrojona w ściereczki do kurzu i praktycznie wszystkie środki czystości, które można było znaleźć w domu! Ściskając w rękach te służące do usuwania nawet najbardziej odpornego rodzaju brudu, chciała przystąpić do pracy.

Próbowałam ją powstrzymać i sama wytrzeć ten z trudem znaleziony kurz, jednak zdecydowanie nie pozwoliła mi na to, twierdząc, iż ona wie lepiej jak poradzić sobie ze sprzątnięciem domu.

Intencje może i miała dobre, ale podobno to właśnie nimi wybrukowana jest droga do piekieł. Droga, na którą nieświadomie dzień wcześniej wkroczyłam, czytając artykuł o Kasi i ciężącej jej obrączce ślubnej.

Stosując metodę relaksacyjnych oddechów, jeszcze kilkakrotnie próbowałam nie wypchnąć teściowej za drzwi razem ze wszystkimi jej eleganckimi walizeczkami. Przed powrotem Håkana, który mógłby chociażby na chwilę zająć się swoją rodzicielką i skutecznie odciągnąć jej uwagę od mojej osoby, zdążyłam zostać skrytykowana za sposób prasowania męzowskich koszul, nawyki

żywieniowe, zbyt małą ilość soli w posiłkach, a nawet za niewłaściwy zestaw zasobów spożywczych w lodówce. Czołowym argumentem przeciwko mnie zaś stało się niewłaściwe zarządzanie wolnym czasem!

Po krytyce przyszedł również czas na porady na temat bardziej efektywnego wykorzystania zarówno sprzętu gospodarstwa domowego, jak i moich umiejętności. Dodatkowo Birgitta zasugerowała pewne zmiany w obrębie holu wejściowego, które jej zdaniem powinny zostać wcielone w życie, najlepiej w trybie natychmiastowym. Uważała bowiem, że nie prezentował się wystarczająco dobrze. Na końcu języka miałam uwagę, że całe mieszkanie zaprojektował jeden z uznanych projektantów. Zdecydowałam jednak, aby rodzony syn przekazał jej tę wiadomość. Dlatego też wszystkie uwagi starałam się znosić z anielską wręcz cierpliwością, przytakując i zapewniając o ich rozważeniu.

Wybuchłam dopiero w momencie, gdy krytyka została skierowana przeciwko mojemu jedynemu przyjacielowi i towarzyszowi niedoli – psiakowi, który rozświeślał mi mroki samotnych dni.

– Dlaczego w ogóle trzymacie tę chodzącą kupę pcheł? Ludzie o waszej pozycji powinni posiadać jakiegoś rodowodowego pupila, który pasowałby do klasy, którą reprezentujecie!

Słowa skierowane przeciwko Torowi sprawiły, że straciłam nie tylko cierpliwość, ale również dobrą wolę, dzięki której miałam uniknąć otwartego konfliktu z Birgittą. Powtarzając sobie, iż przemoc, nawet ta słowna, nie prowadzi do niczego, wzięłam po raz ostatni głęboki wdech i zaczęłam ściszym tonem:

– Mamo, Tor nie ma żadnych pcheł! Zresztą ludzie powinni w pierwszym rzędzie kochać swoje psy, a nie traktować je jak ruchomą część ich majątku. Dla mnie więcej sensu ma przygarnięcie porzuconego mieszańca, niż paradowanie ze szlacheckim czworonogiem za tysiące euro. A jeśli ten system wartości zostanie przeniesiony na ludzi, to czy fakt, nie posiadania przez kogoś nawet kropli błękitnej krwi czyni go kimś gorszym, kto powinien zostać zepchnięty na margines społeczny? – zapytałam, spoglądając na nią wymownie, by uświadomiła sobie zawczasu, kogo mam na myśli.

Aluzja została bezbłędnie wychwycona, ponieważ elegancka, starsza dama stojąca naprzeciwko mnie w odpowiedzi fuknęła z oburzeniem, którego nie mogę zrozumieć do dziś. Ciekawi mnie czy tę frustrację wywołało przyrównanie do psa, czy też wytknięcie braku korzeni szlacheckich.

– Pies to tylko pies! – stwierdziła po chwili milczenia. – Stanowi jedynie potwierdzenie statusu społecznego swoich właścicieli, – brnęła w zaparte – a ten sprawia, że wyglądacie jak zubożała klasa średnia!

– Pies to członek rodziny! – odpowiedziałam oburzona, wywołując tymi słowami kolejną falę furii malującej się na jej poczerwieniałej od złości twarzy.

– Jak w ogóle możesz tak twierdzić? – wrzasnęła piskliwym głosem,

podwyższonym przynajmniej o dwie oktawy.

– Mam prawo do zaprezentowania swoich poglądów, jeśli zostałam zmuszona do wysłuchania kontrowersyjnych jak dla mnie twierdzeń mamy! – rzekłam rozbijając. – A teraz przepraszam, ale muszę wyjść z Torem na spacer – dodałam dobitnie, chwytając wiszącą na wieszaku smycz.

Ten taktyczny odwrót z pola walki miał na celu zapobiegnięcie eskalacji konfliktu, który prawdopodobnie położyłby się cieniem na planowanej rodzinnej kolacji.

Dziś, z perspektywy czasu, postrzegam swoje zachowanie jako nieudolną próbę uniknięcia konfrontacji oraz powstrzymania się przed powiedzeniem kilku słów za dużo. Niestety w ten sposób wysyłałam jasny przekaz informujący moją teściową, iż można bezkarnie prowokować i krytykować nie tylko mnie, ale i moje najbliższe otoczenie. Dlaczego wtedy tak bardzo się obawiałam zabrać głos? Może się to wydać śmieszne, ale chyba obawiałam się niezadowolenia męża, które mogłoby przełożyć się na ciche dni. Tego właśnie pragnęłam za wszelką cenę uniknąć. Moim jedynym celem życia w tamtym momencie było zapewnienie mu maksimum spokoju. Uznawałam to za swój święty obowiązek, spychając wszystkie swoje potrzeby na dalszy plan.

Pamiętna wizyta teściowej trwała tydzień. Nie mniej, nie więcej. Dokładnie jakby wyliczyła sobie długość pobytu co do godziny. W moim odczuciu niestety okazał się znacznie dłuższym okresem czasu, w dodatku niezwykle nerwowym. Z przykrością muszę to dziś przyznać, stało się tak również za sprawą mojego kochanego męża, który upominał mnie w związku z każdym mniej lub bardziej wydumany uchybieniem w stosunku do jego rodzicielki. A długą listę zarzutów zapoczątkował koronny argument:

– Mogłaś postarać się nieco bardziej – szepnął pewnego wieczora, gdy Birgitta zniknęła już za drzwiami pokoju gościnnego. – Czy prosiłem o coś niemożliwego do wykonania?

Złość czająca się w jego oczach była dużo bardziej wymowna niż słowa padające z jego ust, ale niestety nie potrafiłam zrozumieć, za co byłam strofowana.

– Ale... – próbowałam wtrącić chociażby jedno słowo, jednakże nie zostałam dopuszczona do głosu.

– A może w ten sposób próbowałaś mi zasugerować, iż powinniśmy poszukać pomocy domowej, bo sama nie dajesz sobie rady ze wszystkimi obowiązkami? Wiem, że jesteś zajęta Torem, czasami też gotowaniem, ale czy tak trudno było odkurzyć pokój przed przyjazdem mojej mamy?

Poczułam się jak skarcona służąca, która nienależycie przyłożyła się do swoich obowiązków! Ton, jakim do mnie przemawiał, w żadnym razie nie mógł być uznany za głos kochającego męża.

Stałam jak sparaliżowana, słuchając kolejnych pretensji i zastanawiałam się



czy rzeczywiście znam człowieka, którego poślubiłam. Za wszelką cenę próbowałam przypomnieć sobie uczucie miłości i ekscytacji, które sprawiło, że zgodziłam się zostać jego żoną. Niestety moje wysiłki okazały się próżne!

Namiętność, która istniała na początku naszego związku, przerodziła się w rutynę dnia codziennego, wypalając się niepostrzeżenie. W pierwszym momencie obwiniałam o to siebie, cały czas słuchając jego gorzkich słów. Dziś wiem, że wina leżała również po jego stronie.

Z każdą kolejną krytyczną uwagą wylewającą się z jego ust coraz bardziej próbowałam przypomnieć sobie, kiedy po raz ostatni dostałam od niego kwiaty. Nie wiem dlaczego pomyślałam akurat o kwiatkach, bo równie dobrze mógłby to być inny drobny podarunek. Nie potrafiłam znaleźć w myślach chwili, kiedy przygotował dla nas kolację, choćby miały to być zwykłe tosty, których wykonanie nie zajmuje więcej niż dziesięć minut. Nie, nie liczyłam drogich strojów czy kosztownej biżuterii. Te podarki miały podnieść jego prestiż w oczach współpracowników i przełożonych. Mnie chodziło o prezenty darowane z potrzeby serca.

Dopiero po dłuższej chwili przypomniałam sobie naszą pierwszą rocznicę ślubu... Rocznicę, którą spędziliśmy razem z jego mamą! To właśnie wtedy po raz ostatni wręczył mi pojedynczą czerwoną różę! Tylko czy oby na pewno była ona przejawem prawdziwej miłości?

– Czy ty mnie w ogóle słuchasz? – zagrział donośnie Håkan, wrywając mnie ze świata rozważań.

– Tak, tak. – zapewniłam go niemal automatycznie – Postaram się poprawić – dodałam, marząc by wreszcie skończył swoją przemowę.

Uśmiechnął się usatysfakcjonowany, po czym nie dodając nic więcej, ruszył w kierunku barku, z którego wyjął swoją ulubioną whiskey.

Stojąc na środku pokoju, tuż obok wielkiej białej sofy, poczułam, jak głęboka rysa szpecąca od kilku dni obraz mojego idealnego małżeństwa pogłębia się coraz bardziej, a całość pęka z bezgłośnym hukiem na kilka kawałków. Nie miałam nawet ochoty spróbować scalić ich na nowo.

Przykłady niewłaściwych motywacji trzymających mnie przy Håkanie mogłabym mnożyć w nieskończoność. Opisy negatywnych zdarzeń, które zaczęłam dostrzegać w swoim związku, zajęłyby kilkadziesiąt kolejnych stron. Tylko czy wyliczanie ich i rozdrapywanie dawnych, dziś zaleczonych już ran ma jakikolwiek sens? Chyba każda kobieta, a kto wie czy też nie wielu mężczyzn, potrafi zrozumieć, co czułam w tamtym momencie mojego życia.

Odkrywając przyczyny choroby, nie zawsze jednak wiemy, jak powinniśmy ją leczyć. Tak było również ze mną. Mimo świadomości na temat niewłaściwej sytuacji oraz niezdrowych relacji panujących w moim związku, nie miałam pojęcia jak powinnam postąpić i co zrobić. Uzależniona psychicznie od swojego męża,

który był całym moim życiem, nie potrafiłam myśleć o sobie. Nie stanowiłam w swoich własnych oczach niezależnej jednostki, która miała prawo decydować o swoich potrzebach i marzeniach. Nie byłam nawet pewna czy zasługuję na miłość i szacunek. Poświęcając czas na sprawy związane z domem i karierą męża, przestałam myśleć o czasie dla mnie samej. Straciłam wszelkie zainteresowania i pasje!

Tak, dobrze słyszysz, a raczej czytasz! W tamtym czasie nie miałam żadnej pasji, której mogłabym poświęcić chociażby odrobinę czasu wolnego, relaksując się po codziennych, stresujących czynnościach. Skupiałam się nieustannie na ciągłym i nieprzerwanym uszczęśliwianiu mojego męża oraz wypełnianiu jego wszelkich poleceń.

Chyba powinnam też dodać, iż faktycznie zaczęłam uczęszczać codziennie na siłownię, gdy kupił mi ten nieszczęsny karnet. Niekiedy nie dojadając i ćwicząc bez opamiętania, zaczęłam tracić centymetry w talii, by cały rząd „służbowych małych czarnych” wiszących w garderobie pasował na mnie w każdej dowolnej chwili, kiedy tylko zajdzie potrzeba wzięcia udziału w kolejnej służbowej kolacji.

Przez kilka następnych tygodni po wyjeździe teściowej udawałam tak przed samą sobą, jak i przed swoim mężem, że wszystko jest w jak najlepszym porządku. Uśmiechałam się, żartowałam, przygotowywałam rodzinne kolacje, prasowałam koszule i wykonywałam milion innych rzeczy, które zdaniem Håkana robiły się same.

Mimo natłoku zadań, jakie miałam do realizacji, odnotowane przeze mnie pęknięcie na postumencie perfekcyjnego małżeństwa cały czas istniało, drażniąc swoją obecnością moją świadomość. Ba! Miało się coraz lepiej, zwiększając wyrwy widoczne z daleka dla każdego, kto tylko chciał się im przyjrzeć.

## Rozdział IV

Aby nie zanudzać, przejdę do poranka, który rozpoczął kolejny przełomowy dzień w moim małżeństwie. Zaczął się on tak samo, jak wszystkie poprzednie dni spędzone u boku Håkana. Obudziłam się punktualnie o siódmej trzydzieści, obmyłam twarz, na wpół śpiąc pobiegłam na spacer z Torem, wzięłam prysznic i nastawiłam ekspres do kawy.

Z kubkiem parującego naparu z najprzedniejszych ziaren wyhodowanych w Ameryce Południowej, zasiadłam przed migoczącym ekranem komputera i zaczęłam codzienną prasówkę.

Tym razem bez większych niespodzianek przebrnęłam przez najnowsze plotki z życia większych i mniejszych gwiazd polskiego i światowego show biznesu, zamieszczone na kundelku czy innym kundelku.pl i ze spokojem ducha zagłębiłam się w lekturze bardziej poważnych informacji ze świata ekonomii i gospodarki.

Ambitnie? Cóż, chyba o tym nie wspomniałam, ale zanim zostałam usidlona przez mężczyznę z burzą blond loków na głowie, zrobiłam doktorat z ekonomii i ponoć miałam przed sobą świetlaną przyszłość, której jasność zgasła w dniu mego ślubu. Ale wróćmy do zdarzeń i wspomnień z tamtego dnia.

Spodiewając się kolejnych doniesień z frontu wojennego lub zamieszania na lokalnym podwórku politycznym wywołanego przez polityków przeciwnych frakcji, mogącego wpłynąć w oczywisty sposób na gospodarkę, zatrzymałam wzrok na wiele mówiącym tytule: „Żona z Polski to jak trafienie szóstki w Totka”.

Jedno kliknięcie myszki dzieliło mnie od treści artykułu, w której znajdowała się dopiero co ujawniona tajemnica. Czując się zatem niemal jak milion dolarów, otworzyłam link i zaczęłam czytać, chcąc jak najszybciej pojąć czemuż to jestem aż tak cenna!

Dość obszerny artykuł zawierał pochwałę nie tylko urody, ale i wykształcenia moich rodaczek, które dla wielu mężczyzn z zachodniej Europy stały się synonimem sukcesu. Poślubienie ich zaś było zdaniem autora wisienką na torcie, podkreślającą ich osiągnięcia.

Tekst brzmiał tak dziwnie znajomo, iż z wrażenia odstawiłam kubek z nadal gorącą kawą i z coraz większym zaciekawieniem czytałam kolejne zdania, dostrzegając w szczegółowym opisie swój własny związek!

Prawdopodobnie mam w sobie zbyt dużo empatii albo jak hipochondryk, poznając objawy jakiejś choroby, dostrzegłam u siebie jej symptomy, ale utożsamiałam się z tym tekstem na tyle, by z zupełnie innej perspektywy spojrzeć na swoje małżeństwo, moją w nim rolę i stosunek Håkana do mnie.

Zrozumiałam to w końcu. Byłam dla niego jedynie zdobyczą! Ładną i

wykształconą zabawką, którą bez odrobiny wstydu można się pochwalić przed znajomymi. Zajmowałam się domem, przygotowywałam wystawne kolacje dla gości, zwłaszcza tych specjalnych. Dbałam o to, by żadna z jego miliona służbowych koszul nie miała nawet jednego, drobnego zagniecenia i absolutnie zawsze pasowała do wybranego krawata. Håkan potrzebował idealnego zaplecza, które niczym centrum logistyczne dbało o te teoretycznie niewidzialne szczegóły, które w końcowym rozrachunku świadczyły o jego nieskalanym wizerunku pnącego się w górę biznesmena z sektora IT!

Moment! Jak on to podsumował? „Pamiętaj kochanie, że za wieloma mężczyznami, którzy szybko awansują po drabinie sukcesu, kryje się zawsze kochająca żona dbająca o ognisko domowe. Tak jest właśnie w naszym przypadku.” Oczywiście! Wszystko stało się kryształowo przejrzyste, a drobne elementy układanki zaczęły do siebie pasować. To dlatego usilnie próbował zatrzymać mnie w domu i nie dopuścić, bym znalazła sobie jakąkolwiek pracę! Przecież moja kariera zawodowa, chociaż nieopłacana, została przez niego zgrabnie zaplanowana. Stałam się prywatnym kreatorem jego wizerunku. Dostępny miał dwadzieścia cztery godziny na dobę!

Przeczytałam kilka komentarzy pod artykułem. Zarówno tych bezdennie głupich, jak i wnoszących coś do sprawy. Gdy skończyłam, zamknęłam oczy i zaczęłam zastanawiać się, co powinnam począć z tą świeżo nabytą wiedzą.

Pamiętam lawinę myśli przetaczającą się przez moją głowę. Racjonalne rozwiązania sytuacji kotłowały się w zwartej masie, wraz z tymi pozbawionymi jakiegokolwiek rozsądku. Zupełnie szalone plany mieszały się z chęcią wyjaśnienia wszystkiego w cywilizowany sposób. Pojęłam, że wiele miesięcy temu wyrzekłam się nie tylko swoich pasji, ale też samej siebie. Dobrowolnie straciłam kontrolę nad swoim życiem! Najgorsza jednak była świadomość, że nie miałam nawet jednej życzliwej mi osoby, do której mogłabym zadzwonić, wyzalić się lub chociażby spotkać na babską kawę.

Świadomość totalnej bezsilności uderzyła mnie pięścią prosto w twarz. Bez zapowiedzi! Z całą możliwą do wyobrażenia siłą i brutalnością. Przyznam szczerze: zabolalo i to koszmarne! Jednak był to chyba jedyny możliwy sposób, by doznać otrzeźwienia. Wyrwałam się wtedy z apatii i rutyny, w której zgodziłam się zagłębić z powodu „widzi mi się” Håkana.

Nie, nie obwinałam i nie obwiniam jedynie jego. Było w tym wszystkim dużo mojej winy, bowiem nie tylko poddałam się bez protestów jego woli, ale z biegiem czasu sama zaczęłam starać się, by nie tylko wypełniać jego polecenia jak najlepiej, ale nawet je uprzedzać.

W morzu wniosków, do których nagle zaczęłam dochodzić dzięki analizie mojego własnego zachowania, będącego odpowiedzią na wymogi mojego męża, udało mi się również odnaleźć całkiem właściwą myśl. Zrozumiałam, iż nie ma co

płakać nad rozlanym mlekiem, bowiem co już się stało, to się nie odstanie, jak powiedziałaaby moja świętej pamięci babcia. Wiedziałam tylko jedno – należało odnaleźć drogę, którą mogłam wymknąć się z uścisku tej patowej sytuacji i to możliwie jak najszybciej.

Przez króciutki moment, trwający zaledwie ułamki sekundy, miałam wielką ochotę zadzwonić do mojego męża i poprosić go, by wziął wolne na resztę dnia i wrócił do domu. Dziś sądzę, że być może właśnie tak powinnam była zrobić, wtedy jednak, tkwiąc w fałszywych przekonaniach co do ról, jakie oboje pełniliśmy w naszym związku, postanowiłam poczekać z tą rozmową do wieczora. Miałam nadzieję, iż pyszna kolacja, jaką zamierzałam dla niego przygotować stanie się doskonałym wstępem do dyskusji nie tylko nad jakością, ale też przyszłością naszego małżeństwa.

Wiem, to śmieszne. Chciałam się wyzwolić z roli uczynnej pomocy domowej, poprzez dokładne powielenie utrwalonego wzorca. Dziś widzę absurd tamtego rozumowania, ale wtedy wydawało mi się ono słuszne.

Pamiętam jak przez cały dzień cierpliwie, niemal centymetr po centymetrze, sprzątałam nasze „gniazdko miłości”, chociaż wymagało jedynie standardowego odkurzenia. Po skończonej pracy odrzuciłam w kąć ścierki i niezbędne detergenty tylko po to, by zająć się stworzeniem wykwintnego posiłku, który z powodzeniem mógłby zostać zaserwowany w restauracji szczycącej się przynajmniej dwiema gwiazdkami Michelina.

Zadbawszy o scenerię wieczoru i rozkosze podniebienia, zajęłam się również sobą. Po długiej kąpieli robiłam się na przysłowiowe bóstwo i założyłam jedną z sukienek, które mój mąż tak lubił.

Jeszcze raz genialnie i z pełnym poświęceniem odegrałam rolę, którą reżyser, czyli mój ukochany mąż, przewidział dla mnie w przedstawieniu zwanym życiem.

Wchodząc do domu, Håkan oniemiał. Na moment zawahał się, jakby nie będąc pewnym czy powinien wejść do środka. Ponownie spojrzał na mnie, po czym objął mnie lekko i obdarował przelotnym pocałunkiem w policzek.

– Wyglądasz wspaniale – stwierdził, racząc mnie niezbyt wyszukany komplementem. – Czyżbym zapomniał o jakiejś służbowej kolacji? – zapytał natychmiast, lekko zaniepokojony.

Uśmiechnęłam się nieznacznie, chociaż zabolowało mnie, iż jego zdaniem powinnam wyglądać dobrze tylko wtedy, gdy wychodzimy spotkać się z jego współpracownikami.

– Nie – uspokoiliłam go natychmiast. – Po prostu miałam ochotę na miły wieczór w towarzystwie mojego zapracowanego męża – dodałam. – Przygotowałam coś specjalnego na kolację.

– Świetnie – odpowiedział zadowolony – Pójdę się trochę odświeżyć i za moment dołączę do ciebie w jadalni – stwierdził, wydając dyspozycję.

Gdy tylko usłyszałam charakterystyczny dźwięk zamykanej blokady zamka, pognałam na oślep przed siebie, by zapalić wszystkie świece, które zawczasu ustawiłam na stole i szafkach. Przecież nie mogłam zapomnieć o tak ważnym szczególnie romantycznego wieczoru we dwoje.

Ostatni knot zajął się ogniem z zapalniczki, gdy do pokoju jadalnego wkroczył nieco zaskoczony Håkan. Patrząc na jego twarz, spostrzegłam jak bardzo jest zmęczony. Poczulałam się źle ze swymi podejrzeniami. Obwinałam go o całe zło świata, gdy on chciał po prostu zapewnić nam godziwe życie. Krawat, który z reguły związany był w idealny węzeł, został kilka chwil temu poluzowany, a przydługie włosy domagały się interwencji grzebienia. Nawet jego błękitne oczy wołały o moment odpoczynku.

Spoglądając na zastawę, świeżo wypolerowane sztuce, elegancki obrus i całą masę innych detali, odezwał się niespodziewanie, zaskakując mnie swoim pytaniem:

– Czyżbym pominął jakąś rocznicę? A może w natłoku obowiązków zapomniałem o twoich urodzinach? – zapytał chłodnym tonem, nie wskazującym na to, by czuł się winny.

– Nie – zaprzeczyłam po raz kolejny tego wieczora, nie chcąc wzbudzać w nim wyrzutów sumienia, nawet jeśli zdawał się ich nie mieć. – Jak już powiedziałam, mam ochotę spędzić z tobą miły wieczór. Porozmawiać również o... – zawahałam się na moment, wiedząc, iż jeśli odważę się wypowiedzieć pragnienia na głos, nic nie będzie już takie jak przedtem – nas – szepnęłam w końcu.

Spojrzał na mnie lekko zdezorientowany, jakbym domagała się od niego czegoś zupełnie niemożliwego do zrealizowania.

– O nas? – powtórzył za mną, jakby nie rozumiejąc znaczenia tych prostych słów. – Przecież z nami wszystko jest absolutnie w porządku.

Cóż, powinnam się była spodziewać, że nie będzie łatwo.

– Otóż nie jest – zaprzeczyłam natychmiast, ściskając w ręku ręcznie haftowaną serwetkę z najwyższej jakości lnu. – Istnieją pewne delikatne kwestie, które musimy nie tylko przedyskutować, ale również zastanowić się, jak możemy je zmienić – kontynuowałam niestrudzenie, pragnąc jak najszybciej wyrzucić to z siebie.

Håkan uśmiechnął się do mnie niemal czule, chociaż zwykle nie pozwalał sobie na jawne okazywanie uczuć. Przynajmniej nie robił tego ostatnio.

– Kochanie, nie dzisiaj – szepnął niemal prosząco. – Miałem ciężki dzień w pracy i jedyne o czym marzę, to kolacja i miękkie łóżko. Potrzebuję dłuższej chwili odpoczynku.

Nie czekając nawet na moją odpowiedź, chwycił sztuce, wbił widelec w

pieczony udziec jagnięcy i odkroił sobie kawałek.

Westchnęłam zrezygnowana, nie wiedząc jak mogłabym uratować ten wieczór i przeprowadzić ważną dla mnie dyskusję. Jednocześnie nie chciałam wyjść na żołą, która nie potrafi zrozumieć i uszanować zmęczenia męża.

Zanim jednak zdołałam ująć w słowa targające mną uczucia, ciszę pokoju zakłócił sygnał telefonu należącego do mojego męża.

Wypowiadając zaledwie kilka urywanych, praktycznie bez znaczenia słów, poderwał się od stołu i ruszył w kierunku wyjścia.

Ostatkiem sił powstrzymałam się przed rzucając w niego najbliższym przedmiotem znajdującym się pod ręką. Jak w ogóle mógł wstać od stołu bez żadnego wyjaśnienia? Bez chwili zwłoki ruszyłam za nim.

– Któż to jest w stanie oderwać cię od rodzinnego stołu w trakcie kolacji i to pomimo ogromnego zmęczenia uniemożliwiającego ci rozmowę z własną żoną? – zapytałam lekko zdenerwowanym głosem, próbując za wszelką cenę kontrolować swoje emocje.

– To Malin – rzucił szybko. – Miała awarię samochodu i potrzebuje mojej pomocy – stwierdził, gorączkowo rozglądając się po holu. – Nie wiesz, gdzie położyłem kluczyki od samochodu?

Pamiętam, że chciałam wtedy krzyczeć, płakać i zawodzić, rwąc sobie włosy z głowy. Byłam w stanie zrobić wszystko, byle zatrzymać go przy sobie. A jednak z jakiegoś powodu jedynie odpowiedziałam spokojnie na jego pytanie, wskazując paterę zdobiącą jedną z komód.

– Nie wiem ile to potrwa – rzucił, zawiązując sznurowadła swoich eleganckich, robionych na zamówienie butów. – Nie czekaj na mnie – poradził uprzejmie. – Po prostu idź spać, kiedy przyjdzie ci na to ochota.

Sięgał właśnie po płaszcz, gdy usłyszał mój łamiący się głos.

– Nie rozumiem dlaczego panna Karlsson nie może wezwać pomocy drogowej, jak czyni to większość normalnych ludzi – stwierdziłam dość racjonalnie – albo przynajmniej do swojego sławnego narzeczonego, którego jak do tej pory dziwnym trafem nikt nie miał okazji poznać osobiście – stwierdziłam dobitnie, mając nadzieję, iż pojmie, że żona jednak powinna być ważniejsza od przełożonej domagającej się czasu prywatnego swego podwładnego.

Niestety nie zrobił tego. Albo udał, że nie rozumie mojego punktu widzenia i tego, co próbowałam przekazać mu między wierszami.

Zanim którekolwiek z nas odezwało się ponownie, do holu wbiegł podekscytowany Tor, sądząc, iż za moment zostanie zabrany przez Håkana na spacer. Niestety zdenerwowany mężczyzna odepchnął go od siebie, próbując zebrać potrzebne mu rzeczy. Niezrażony jego zachowaniem, pies skoczył na niego, domagając się chociażby najmniejszej porcji czułości.

– Nie potrafisz nawet właściwie wytresować tego przybłądy – fuknął na

mnie niespodziewanie. – Powinien wiedzieć, że nie może tak plątać się między nogami. A może po prostu malując się godzinami przed lustrem, zapomniałaś o jego spacerze?! – wrzasnął na całe gardło, nie panując nad narastającym w nim gniewem.

Wzięłam głęboki oddech i policzyłam do trzech, zanim uwolniłam powietrze z płuc, po czym ze stoickim spokojem odpowiedziałam:

– Nie jest przybłądą, bo ma swój dom i właścicieli, którzy winni mu są opiekę, ale też miłość. Jest spragniony twojej uwagi, podobnie zresztą jak ja! Najwidoczniej jednak praca i twoja szefowa stanowią priorytet, z którym żona oraz pies nie mogą się równać! – rzekłam, dając upust frustracji nagromadzonej w ciągu ostatnich tygodni, które minęły od pamiętnego poranka.

Przez jeden, krótki moment zawahał się. Tak jakby chciał coś odpowiedzieć, ustosunkować się w jakiś sposób do mojej wypowiedzi. Niestety po chwili chwycił swój płaszcz i bez słowa wyszedł, śpiesząc się na spotkanie z Malin.

Wieczór spędziłam w sposób, który został opisany i zilustrowany milionem stereotypów prezentowanych chyba w każdym amerykańskim filmie poruszającym wątek porzuconej kobiety. Rozsiadłam się na kanapie w pokoju dziennym i zaczęłam objadać się lodami pistacjowymi odnalezionymi z zamrażarce. Tor, wyczuwając, że coś jest nie tak, położył się obok mnie i łamiąc zasadę nie wchodzenia na sofę, przytulił się do mojego brzucha. Przygarnęłam go do siebie i drapiąc za uchem, zaczęłam rozpaczać nad sytuacją, w której się znalazłam.

Włączając muzykę, która powoli zaczęła sączyć się z głośników, zdecydowałam się na polskie utwory sprzed lat. Czułam do nich niewysłowiony sentyment związany ze wspomnieniami z lat młodości. W tamtym momencie nie byłam kobietą nieco po trzydziestce, lecz miałam wrażenie jakby ktoś zrzucił na moje barki przynajmniej sto lat doświadczenia. Zawodząc cichutko wraz ze znaną wokalistką, której głos zdominował przestrzeń w pokoju, uroniłam pierwszą łzę. A za nią drugą, trzecią i milion kolejnych. Każde słowo docierało do głębi serca i utrwalało ból odrzucenia.

Wszystko jednak ma swój kres. Także smutek i żale wylewane tysiącem kropli spływających po policzkach. Kiedy ostatnie takty płyty przebrzmiały, zostawiając mnie sam na sam z ciszą, zrozumiałam, że rozstrój nerwowy i popadanie w depresję nic mi nie pomoże, a jedynie utrudni czekanie na powrót Håkana.

Bunt narastający w mej duszy zmotywował mnie do złości, którą za wszelką cenę miałam nadzieję uzewnętrznić zaraz po przybyciu mojego męża. Miałam ochotę wykrzyczeć światu słynne słowa – tytuł książki Katarzyny Grocholi „Ja Wam jeszcze pokażę!”

Niestety bardzo szybko uświadomiłam sobie, iż nie mam komu i czego



pokazać! Håkan, o ile na czas otrzymywał jedzenie, czyste ubrania, wyprasowane koszule oraz mieszkał w niemal sterylnym otoczeniu, nie zauważał mojego istnienia. Spoglądając na panoramę miasta nocą zrozumiałam, że spełnienia w innych sferach życiowych poszukiwał zapewne w ramionach Malin bądź też innej, nieznaney mi nawet z imienia kobiety. Prawdopodobnie nie czuł się winny z powodu posiadania kochanki, bo przecież zapewniał właściwe utrzymanie kobiecie, którą poślubił.

Zapewne w sprowadzeniu mnie do roli przedmiotu pomógł również chociażby najmniejszego grona swoich własnych przyjaciół, z którymi mogłabym się od czasu do czasu spotkać, wyjść na kawę czy chociażby do kina. Żyjąc jak cień, w końcu się nim stałam. Transparentna istota, odpowiedzialna za sprawne funkcjonowanie domu, została zdegradowana z roli kochanej żony do stanowiska wielofunkcyjnego robota.

Zastanawiając się co zrobić, poderwałam się z kanapy i zaczęłam nerwowo krążyć po pokoju. Zupełnie jakby pozostawanie w ruchu mogło mi zagwarantować genialny pomysł oferujący wyjście z kryzysowej sytuacji. W głowie jednak cały czas kołatała mi jedna myśl, której nie zamierzałam pominąć w procesie decyzyjnym. Nie mogę tkwić w fikcyjnym na dobrą sprawę związku, dławiąc się frustracją i pretensjami do męża, siebie i całego świata. Zdawałam sobie również sprawę, iż nie mogę tak po prostu zasypiać i budzić się u boku Håkana, jakby wieczorne wydarzenia nigdy nie miały miejsca.

Po krótkim spacerze, który nie przyniósł mi ani ulgi, ani żadnego sensownego pomysłu, chwyciłam w dłoń ulubioną poduszkę, zawołałam psa i pomaszerowałam w kierunku pokoju gościnnego, pocieszając się faktem, że tam też umieściliśmy wygodne łóżko. Dzięki takiemu posunięciu zyskałam pewność, że niezależnie od tego, o której godzinie mój mąż zdecyduje się w końcu powrócić do domu, to zrozumie, iż nie miałam ochoty tkwić w kłamstwie, dzieląc z nim naszą wspólną sypialnię!

Dławiąc się własną, pokruszoną na milion fragmentów pychą i łzami spływającymi po policzkach, usnęłam, nad słuchując dźwięku otwieranych drzwi wejściowych.

## Rozdział V

Poranek, który nastąpił po tamtej nocy, powalił mnie na kolana prawym sierpowym zaserwowanym przez rzeczywistość. Tym samym doszczętnie zmienił również moje postrzeganie całego zagadnienia związanego z moim dylematem.

Cóż takiego się stało? Zanim jeszcze, na wpół śpiąc, wyszłam z Torem na spacer, odkryłam, iż mój mąż nawet nie pofatygował się, by wrócić do naszego domu na noc! Dekoracyjna narzuta na małżeńskim łożu była nietknięta. Spostrzeżenie to obudziło mnie znacznie skuteczniej niż litr najmocniejszej czarnej kawy, jaką tylko można sobie wyobrazić.

Wszystko stało się jasne! Håkan przestał już nawet dbać o pozory i eleganckie kłamstwa mające utrzymać mnie oraz innych w przekonaniu o jego uczuciu i zaangażowaniu w ten związek. W obliczu moich podejrzeń i postawy zaprezentowanej poprzedniego wieczora, postanowił nie kryć się więcej ze swoim związkiem z szefową. Nagle pojęłam również niechęć, którą Malin przejawiała zawsze względem mojej osoby. Przemawiała przez nią zazdrość i frustracja wywołana byciem „tą drugą”.

Być może pomyślisz, że przesadzałam, bo przecież z racjonalnego punktu widzenia mogło istnieć przynajmniej kilka powodów dlaczego Håkan nie wrócił na noc. Wśród nich na pewno należało by wspomnieć wypadek, uraz głowy, przypadek amnezji lub porwanie przez niezidentyfikowany obiekt latający. Cóż, to wszystko prawda. Jednak moje serce znało już fakty i pozwoliło, by świadomość zdrady, której dopuścił się mój mąż, dotarła również do mojej świadomości.

Spacerując po parku, wśród drzew gubiących swe liście, w pierwszych promieniach słońca próbującego ogrzać chłodny poranek, zastanawiałam się, jak przywitać zupełnie obcego mi mężczyznę, z którym łączyły mnie więzy małżeńskie. Dylemat ten, podobnie jak wszystkie inne, tłać się w ogniu świadomości od poprzedniego wieczora, pozostawał bez odpowiedzi. Pytanie „co zrobić?” szeptane raz po raz, błędziło po mojej głowie bez ustanku, niczym pozytywka grająca do znudzenia tę samą melodię.

Wróciwszy wreszcie do domu, postanowiłam nadać swoim czynnościom pozory normalności. Włączyłam ekspres do kawy i ruszyłam w kierunku łazienki. Tam okazało się, że dawna rutyna przepadła gdzieś, ustępując pola szeregowi niespodzianek i kłamstw. Przy lustrze bowiem zobaczyłam Håkana, ubranego jedynie w spodnie od piżamy. Jego potargane blond włosy wyglądały jakby dopiero co uniósł głowę z wygodnej poduszki, a oczy sprawiały wrażenie zaspanych.

Jaka była pierwsza myśl, która przyszła mi wtedy do głowy? Zdecydowanie były to słowa nie pasujące do trzydziestoletniej kury domowej zamkniętej w złotej

klatce:

„Koleś, nie wiem jaka jest twoja historia, ale z pewnością mnie ona nie urzeknie, bo śmierdzi od ciebie ściemą i to na kilometr”.

– Witaj kochanie – powitał mnie promiennym uśmiechem, próbując jednocześnie mnie objąć. – Wróciłem bardzo późno i nie chciałem cię zbudzić, dlatego spałem w pokoju gościnnym. Nie martw się, później wszystko posprzątam – zapewnił na koniec.

Pamiętam to dokładnie: po prostu wybuchłam śmiechem. Tak szczerym i nieopanowanym, iż do dziś na samo jego wspomnienie bolą mnie mięśnie brzucha. Wbrew pozorom, nie ubawiło mnie oczywiste kłamstwo jakie mi zaserwował, ale deklaracja osobistego uprzątnięcia bałaganu, który rzekomo spowodował.

– Posprzątasz? – zapytałam, upewniając się czy dobrze usłyszałam, próbując jednocześnie zapanować nad kolejną falą śmiechu.

– Tak – przytaknął natychmiast, nie rozumiejąc cóż może mnie tak śmieszyć.

– Cóż, z pewnością będzie to dla ciebie zupełnie nowe doświadczenie – stwierdziłam opanowanym głosem, gdyż nagle dostrzegłam dramatyczną stronę całej sytuacji – Jednak w mojej opinii powinieneś zająć się pokojem, w którym faktycznie spałeś. Tak się składa, że jeszcze wczoraj wieczorem naszą gościnną sypialnię zająłam ja i jakoś nie zauważyłam cię w tamtym łóżku po przebudzeniu!

Wyraz jego oczu w tamtym momencie prześladuje mnie po dziś dzień. Był to szok przemieszany z oburzeniem i czymś, co autorzy kryminałów określają mianem chęci mordy. Chyba nie spodziewał się, że otwarcie wytknę mu jego kłamstewka. Prawdopodobnie, jako pan i władca, sądził, iż wystarczająco dobrze wytrenował sobie żonę, by wzięła jego słowa za dobrą monetę i pozostała ślepa na zdrady męża. Niestety, przeliczył się w swoich oczekiwaniach.

– Porozmawiamy, gdy wrócę z pracy – zakomunikował nieco zmieszany, wycofując się w stronę sypialni.

– Nie – zaoponowałam natychmiast, znajdując w sobie siłę, by jawnie mu się przeciwstawić. – Na rozmowę miałeś czas wczoraj wieczorem. Dziś jest na to zdecydowanie za późno! – stwierdziłam, trzaskając drzwiami od łazienki.

Czekałam czterdzieści minut, aż Håkan wyjdzie do pracy, by wejść do kuchni i wyłączyć, z pewnością przegrzany, ekspres do kawy. To paradoksalne, ale naprawdę wtedy bardziej przejmowałam się głupią maszyną, która w mojej wyobraźni powoli nagrzewała się do czerwoności, niż śmiercią mojego małżeństwa.

Kiedy wreszcie dopadłam do blatu kuchennego, z ulgą odkryłam, że wtyczka magicznym sposobem została wyjęta z gniazdka, a czarny napój powoli stygł, prosząc by ktoś zechciał wychylić chociażby filiżankę parującego eliksiru bogów. Wdychając ciężki, lekko czekoladowy aromat, zdecydowałam się jeszcze raz tego

dnia porzucić rutynę. Sięgnęłam do szafki i wyjęłam z niej saszetkę zielonej herbaty.

Siadając przed komputerem w bibliotece, po raz kolejny tego dnia zadałam sobie kluczowe pytanie: CO ROBIĆ?!

Mój wzrok, niczym pod wpływem środków pobudzających, biegał po regałach ustawionych wokół mnie, aż wylądował na książce, którą kupiłam na długo przed poznaniem Håkana. „Jedź, módl się i kochaj” krzychał do mnie tytuł wypisany na usztywnianym grzbiecie woluminu. Zdecydowanie była to jakaś podpowiedź. W końcu miałam przed sobą dzieło jednej ze współczesnych amerykańskich pisarek, zawierające w sobie odpowiedź na problemy współczesnych rozwódek.

Racjonalnie rzecz ujmując, nie byłam rozwódką, ale siedząc w mieszkaniu, które jeszcze do niedawna zwałam domem, czułam się zupełnie jak bohaterka wspomnianej powieści, chociaż rozwiązanie małżeństwa dopiero zaczynało majaczyć jako bliżej nieokreślony cień na horyzoncie mojej przyszłości. Zresztą, do czego mógł być mi potrzebny świstek papieru z napisem „wolna”? Po przygodzie z Håkanem, ostatnią rzeczą, jakiej pragnęłam siedząc w przestronnej domowej bibliotece, był związek z kolejnym mężczyzną.

No tak, ale przecież mój jeszcze mąż być może chciałby podejść do tej sprawy nieco inaczej. Być może zapragnąłby zamknąć Malin w złotej klatce, o którą dbałam tak pieczołowicie. Co wtedy? Cóż, jeśli zajdzie taka potrzeba, to sam będzie musiał się postarać o odpowiednie dokumenty. Zresztą, chyba w szkole języka szwedzkiego słyszałam, iż po dwóch latach separacji sąd orzeka rozpad związku, jeśli tylko nie było w nim dzieci. Dwa lata! Cóż, miną one Håkanowi na pracy i słodkich chwilach sam na sam z szefową.

Niemal siłą odwróciłam wzrok od książki i zapatrzyłam się w ekran komputera stojącego przede mną na masywnym, eleganckim biurku. Jednym kliknięciem myszki otworzyłam ulubiony portal plotkarski, od którego zaczęło się moje przebudzenie i od razu dostrzegłam jedną z naszych polskich celebrytek, prężącą się do obiektywu kamery gdzieś na rajskiej plaży. Zajrzałam do artykułu i bardziej ciesząc oczy widokiem turkusowej wody i zieleni palm, przeszukiwałam tekst w poszukiwaniu nazwy tego niebiańskiego zakątka. Krótka notka, ukryta gdzieś pomiędzy kolejnymi fotografiami, informowała wszystkim zainteresowanych o sesji zdjęciowej w Tajlandii.

Westchnęłam ciężko, spoglądając raz po raz na biały, drobny piasek. Håkan nigdy mnie tam nie zabrał, twierdząc, że nie jest to miejsce wystarczająco prestiżowe. Ja zaś podejrzewałam, że po prostu Aruba, na którą lataliśmy co roku, bardziej mu się podobała.

Próbując wyzbyć się wspomnień tego, co właśnie zostawało daleko w tyle, zamknęłam przeglądarkę internetową i wróciłam do pytania dnia. Co zrobić? Jedno

było dla mnie jasne – musiałam skonstruować jakiś sensowny plan działania jeszcze przed powrotem męża. Nie miałam nawet ochoty oglądać jego twarzy. Czy była to nienawiść w najczystszej postaci? Nie, chyba nie. Raczej ból, który musiał przeminąć.

Być może zabrzmiało to dla ciebie niedorzecznie, ale kiedy uświadomiłam sobie swoje uczucia względem Håkana, niemal usłyszałam książkę wołającą do mnie z półki:

– „Jedz, módl się i kochaj!”

Pamiętam jak dziś. Zamknęłam oczy i wyobraziłam sobie tę rajską plażę ze zdjęć na kundelek.pl. Obraz ten kontrastował z zimną, szarą rzeczywistością za oknem. Niemal doznając dotyku ciepłego piasku pod stopami, uśmiechnęłam się bezwiednie, odczuwając pewnego rodzaju ulgę. Przez wizualizację, którą zafundował mi mój mózg, doszłam do wniosku, że pomysł wyjazdu nie jest wcale takim złym planem na przyszłość. Co prawda nie miałam ochoty opychać się makaronami we Włoszech, ani medytować pośrodku Indii, ale zawsze mogłam wybrać się w nieznane, gdzie bez przeszkód będę mogła na nowo pokochać siebie i swoje życie. A jeśli będzie to piękna plaża w Tajlandii, to tym lepiej dla mnie! W końcu należy mi się jakiś bonus od losu!

Od tamtego momentu zaczęłam działać jak w transie. Zanim jednak zajęłam się wyszukiwaniem połączeń, hoteli czy innych niezbędnych rzeczy, zadzwoniłam do mamy. Przecież musiałam znaleźć kogoś, kto pod moją nieobecność zajmie się Torem. Nie chciałam brać go w podróż w nieznane, nie mając stuprocentowej pewności, iż nie stanie się daniem dnia w jakiejś restauracji!

– Córeczko, oczywiście, że się nim zajmę – zapewniła mnie moja rodzicielka, gdy tylko ją o to zapytałam – ale mam dziwne przeczucie, że to nie jest jakiś tam zwykły wyjazd. Czy coś się stało?

– Nie rozumiem, co masz na myśli – skłamałam, przeprasząc ją za to w myślach.

– Masz dziwny głos. Wiesz, że ten psotnik jest tu zawsze mile widziany, ale z reguły zostawialiście go w psim hotelu, o ile dobrze pamiętam.

Czy wszystkie matki na świecie muszą być takie dociekliwe? Gdyby taktownie nie próbowały czytać między wierszami, oszczędziłyby sobie dużo niepotrzebnych zmartwień.

– Nie mają aktualnie żadnych wolnych miejsc, a ten wyjazd wypadł w ostatniej chwili. Teraz albo nigdy, chyba rozumiesz – próbowałam łączyć jak z nut, czując z każdą chwilą co raz bardziej usuwający się spod nóg grunt.

– Skoro tak mówisz... – odezwała się, nie do końca przekonana – To kiedy ten kudłacz do mnie zawita?

– Jutro rano będę w domu... – odpowiedziałam, szukając jednocześnie odpowiedniego połączenia promowego z Nynashamn.

– Zatem czekam na was z niecierpliwością, córeczko... – rzekła łamiącym się głosem. – I uważaj na siebie, proszę – dodała po chwili, po czym przerwała połączenie, prawdopodobnie nie chcąc słuchać moich kolejnych kłamstw.

Cóż, za długo mnie znała, by nie zrozumieć, że coś jest nie tak. Nigdy, żaden z moich wyjazdów, chociażby do znajomych w sąsiednim mieście, nie był naznaczony takim pośpiechem. Cóż, ekstremalna sytuacja wymaga radykalnych środków.

Zakupiłam bilet do Polski, wykupiłam kabinę dla siebie i psa, a potem zaczęłam rozglądać się za jakimś sensownym połączeniem z Bangkokiem. Zanim zegar wybił dwunastą, obwieszczając kolejny spacer z Torem, wszystkie rezerwacje zostały dokonane, a mnie czekało upchnięcie kilku rzeczy w walizce.

Czy potrafisz spakować się w godzinę? Cóż, ja tak! Zabrałam jedynie najważniejsze rzeczy, dbając by były to przedmioty zakupione przeze mnie, za pieniądze zarobione przed moim małżeństwem. Kiedy zamknęłam zamek, odczułam na własnej skórze, co znaczy fakt dokonany. Wiedziałam, że od tego momentu moje życie ulegnie całkowitej transformacji, a ja nie miałam pojęcia, jaką formę przywdzieje.

Pamiętam, jak stojąc w drzwiach wejściowych ostatni raz spojrzałam w stronę pokoju dziennego, w którym setki razy odgrywałam rolę szczęśliwej i kochającej żony, nie zdając sobie nawet sprawy, iż jestem jedynie aktorką w przedstawieniu wyreżyserowanym przez mojego męża.

Nie, nie zostawiłam mu żadnego listu ani nawet krótkiego wyjaśnienia. W moim odczuciu nie zasługiwał na taki gest, skoro przyparty do ściany kłamał mi w żywe oczy, twierdząc, że wrócił do domu poprzedniego wieczora.

Nie, nie mógł sprawdzić dokąd się udałam. Zadbłam o to z wielką precyzją. Wyczyściłam historię wyszukiwarki, zmieniłam hasła w poczcie i portalach społecznościowych, by nie miał do nich wstępu po moim wyjeździe. Wszystkie rezerwacje opłacałam ze swojego polskiego konta bankowego, do którego on nie posiadał dostępu. Użyłam jedynie własnych środków, a otrzymaną od niego kartę kredytową pozostawiłam w szufladzie nocnej szafki.

Wystawiłam walizkę na korytarz. W ślad za nią powędrował również niewielki transporter, w którym miałam wnieść Tora na pokład promu. Psiak, biegając wokół moich nóg, zaskamlał cichutko, jakby przeczuwając, iż oto pewien etap w jego i moim życiu właśnie dobiegł końca. Kładąc się na podłodze, próbował opierać się przed wyjściem na zewnątrz, chcąc pozostać w domu. Jego zachowanie stało się dla mnie pewnym symbolem. Doskonale odzwierciedlało nieodwracalność podjętych przeze mnie decyzji.

Wzięłam go na ręce i tuląc do siebie, wyszłam z mieszkania. Zamknęłam drzwi na jeden z zamków, a klucze wrzuciłam do środka przez otwór na listy. Nie były mi już do niczego potrzebne.

Krocząc w kierunku windy, uśmiechnęłam się nieznacznie, czując się wolną. Wyzwoloną od kłamstw, których istnienia nie dostrzegałam przez wiele miesięcy mojego życia.

Taksówka czekająca na dole zabrała mnie i Tora sześćdziesiąt kilometrów od budynku, który jeszcze niedawno był moim domem. Prom odpływający do Polski ukazał mi Sztokholm powoli znikający za horyzontem w mrokach wieczoru. Wraz z nim znikало moje przeszłe życie.

Nie, nie było mi lekko. Miłości, która mieszkała w sercu przez tak długi czas, nie da się wyrwać w jednej sekundzie, niczym chwastu spośród kwiatów. Czasami jednak lepiej znieść ból trwający przez pewien czas, oszczędzając sobie cierpienia przez całe lata.

W Polsce okazało się, że rozstanie z Torem było znacznie trudniejsze niż porzucenie życia w złotej klatce, którą stanowił dla mnie luksusowy apartament wypełniony materialnymi dobrami, o których marzył wielu ludzi.

Stojąc przy niewielkim plecaku, żegnałam się z mamą, a ten mały, nieco zadziorny psiak skulił się i piszcząc strasznie, zaczął niemal błagać, bym zabrała go ze sobą.

Czując jak serce niemal pęka mi z żalu, wzięłam go na ręce, co nader często czyniałam od momentu opuszczenia Sztokholmu, i przytuliłam go tak mocno, jak przytula się małe dziecko spragnione kontaktu z matką. Uspakajając się niemal natychmiast, przywarł do mojego ciała, próbując wczepić się w nie niczym kociak. Głaszcząc jego kudłaty łebek, szeptałam obietnicę rychłego powrotu.

– Håkan dzwonił wczoraj wieczorem – odezwała się niespodziewanie moja mama, chociaż nie pisnęła na ten temat ani słowa podczas tych kilku godzin, które spędziłam z nią w domu. – On nic nie wiem na temat twoich wakacyjnych planów, a może jedynie odniosłam mylne wrażenie

Westchnęłam cicho, żałując, że wciągnęłam moją mamę w całą tę historię wielkiej ucieczki. Nie miałam jednak innego wyjścia. Cóż, skoro powiedziało się A, trzeba wymienić i kolejne litery alfabetu.

– Być może faktycznie zapomniałam go o tym poinformować, ale wiesz, to przez ten pośpiech – wyjaśniałam szybko, próbując zbagatelizować ten temat. – Zadzwońię do niego z hotelu, kiedy już dotrę na miejsce – zapewniłam, by nieco ją uspokoić.

W przedpokoju zapanowała na moment cisza, którą wykorzystałam, by raz jeszcze podrapać za uchem puchatą kulkę znajdującą się w moich ramionach.

– Jesteś dorosła i sama wiesz, co jest dla ciebie najlepsze – stwierdziła mama. – Cokolwiek się stało, w dogodnym momencie na pewno mi o tym powiesz, a tymczasem przemyśl sobie wszystko. O tego małego pieszczocha – rzekła, wskazując na psa – nie martw się ani przez chwilę. Zajmę się nim tak długo, jak będzie trzeba – dodała ciepło.

Uściskałyśmy się serdecznie, niemal miażdżąc niczego niespodziewającego się Tora, który za nic na świecie nie chciał opuścić moich objęć. Bez słowa oddałam pupila mamie i chwyciwszy pasek plecaka, wyszeptałam ciche słowa pożegnania. Opuściłam mieszkanie przy akompaniamencie życzeń szczęśliwej podróży i cichym popłakiwaniu psa. Ruszyłam ku przygodzie czekającej na mnie na drugim końcu świata. To tam miałam nadzieję odnaleźć spokój duszy i samą siebie.



## Rozdział VI

Kilka godzin w samolocie zabierającym mnie do Doha minęło szybko i przyjemnie. Zastanawiasz się jakim cudem? Istnieje jeden, sprawdzony sposób – przespać je. I muszę przyznać, że było to przyjemne uczucie. Po prostu zamknęłam oczy i zasnęłam, nie myśląc o żadnych problemach.

Pobyt na moim lotnisku tranzytowym uznałam zaś za tymczasową niedogodność, która nieoczekiwanie zaciekała mnie do tego stopnia, iż przed wejściem na pokład samolotu do Bangkoku miałam niemal ochotę zostać jeszcze trochę i dalej obserwować fascynującą mieszkanek narodowości, strojów i twarzy, które przewijały się przez terminal.

Kobiety w barwnych sari wyglądały jak kolorowe motyle, odróżniające się w morzu czerni stworzonym przez burki będące ubiorem rdzennych mieszkańek kalifatu, na terenie którego znalazłam się na moment. Piękna, niemal koronkowa biżuteria, zdobiąca egzotyczne piękności, mogła z powodzeniem konkurować z urodą swoich właścicielek. Mężczyźni zaś, ubrani zarówno w eleganckie garnitury od znanych projektantów, jak i tradycyjne galabije, przechadzali się sprężystym krokiem, dopinając ostatnie sprawy przed lotem. Gdzieś w kącie dostrzegłam małego chłopca, który bawiąc się miniatyrką samochodziku, nerwowo rozglądał się za kimś, dopóki jedna z kobiet nie podbiegła do niego, by chwycić go w swe bezpieczne ramiona.

Zakochałam się w świecie odmienności, który przyszło mi zobaczyć. W środowisku tak odległym od już mi znanego. Podziwiając ukradkiem wyrazisty makijaż oczu jednej z pasażerek czekających na krzesełku obok, zastanawiałam się, jakim cudem Håkan nigdy nie chciał poznać tego fascynującego świata, tak odmiennego od naszej codzienności.

Z głośników rozległ się komunikat wzywający ostatnich pasażerów udających się do Bangkoku. Nerwowo chwyciłam swój bagaż podręczny i oglądając się za siebie, ruszyłam w kierunku wejścia do rękawa. Czułam niedosyt i chęć zagłębienia się w egzotykę, którą dopiero co odkryłam. Jedynym pocieszeniem był fakt, że Tajlandia miała szansę zafascynować mnie w równym stopniu.

Kolejny lot, kolejny życiodajny sen. To był chyba najlepszy sposób spożytkowania tego czasu. Dzięki temu nie musiałam wspominać ani planować. Najważniejszą dla mnie rzeczą było poczucie bezpieczeństwa. Oszczędności zgromadzone na moim polskim koncie gwarantowały mi utrzymanie na dużo więcej niż miesiąc, który planowałam spędzić w Tajlandii. Ekscytując się przygodą, gdzieś tam na mnie czekającą, nie zastanawiałam się nad niczym. Wyzwoliwszy się z zakłętego kręgu rutyny, chciałam wreszcie na własnej skórze

poczuć, co to znaczy spontaniczność.

Informacja znaleziona na stronie internetowej hotelu, w którym zarezerwowałam trzy pierwsze noce, mówiła, iż najwygodniejszym sposobem dojazdu z lotniska jest kolejka miejska BTS Sky Train, dlatego też właśnie na jej stację udałam się po odebraniu bagażu. Przejazdźka szybkim wagonikiem, wypełnionym po brzegi ludźmi, mknącym po torach położonych kilka poziomów nad ziemią, dała mi okazję do pierwszego spojrzenia na miasto. Niestety, udało mi się jedynie zobaczyć szare, betonowe budynki, jakich pełno na całym świecie. Na próżno było szukać w miejskim krajobrazie kolorów, które obiecywały zdjęcia reklamujące ten niezwykły kraj.

Wysiadłam na jednej ze stacji i bez problemu odnalazłam cel swojej podróży. Niestety okazało się, że trafiłam do turystycznego molocha, po którym nieustannie krążyły setki ludzi z całego świata. Przeogromna, przytłaczająca swym rozmiarem recepcja podzielona została na odpowiednie sekcje, w których zatrudnieni pracownicy wykonywali jedynie jeden wybrany zakres pracy recepcjonisty. U miłej pani można było się wymeldować, u mrukliwego pana złożyć reklamację, a u uśmiechniętego młodzieńca uzyskać klucz od pokoju, po wcześniejszym okazaniu rezerwacji i dokumentów podróży.

Z perspektywy czasu oceniam ten system jako bardzo trafnie skonstruowany. W końcu w znacznej mierze ułatwiał życie nie tylko turystom, ale też pracownikom. Jednak po wkroczeniu do eleganckiego holu miałam ochotę się zbuntować, by nie zostać tak szybko zaszufładowaną – „Kolejka numer jeden, tak, proszę, o tędy, na prawo!”

Pokój okazał się mały, ale dość wygodnie urządzony. Dla mnie jednak najważniejsze było to, iż mogłam w końcu wziąć upragniony prysznic, który wydawał mi się wybawieniem po kilkunastu godzinach spędzonych w podróży.

Kiedy odświeżona przysiadłam na miękkim fotelu, by zastanowić się co dalej powinnam ze sobą począć, odkryłam, że po chwilowym zmęczeniu, które osłabiło moje ciało, stałam się na powrót pełna energii. Jednak to nie było głównym uczuciem, które mnie zdominowało.

Byłam głodna. Głodna wrażeń! Marzyłam jedynie o tym, by zanurzyć się w kakofonii wielkomijskich dźwięków, które gwarantowały mi stuprocentową anonimowość.

Chwyciłam mały plecak, w którym zawczasu umieściłam niezbędne mi przedmioty i ruszyłam w kierunku recepcji. Elektroniczna, interaktywna mapa miasta wskazała mi najważniejsze zabytki, centra handlowe, restauracje, a nawet kluby nocne. Niemożliwością było spamiętać lokalizację ich wszystkich, dlatego też chwyciłam papierową wersję planu Bangkoku – trzeciego pod względem wielkości miasta Azji – i ruszyłam wprost na stację kolejki Sky Train, która mknęła wprost do centrum miasta ponad dachami okolicznych domów i biurowców.

Różnorodność doznań atakujących wszystkie moje zmysły była dla mnie trudna nie tylko do opisanego, ale również do określenia. Owszem, znałam Polskę, Szwecję czy ukochane przez Håkana Arubę i Meksyk, ale absolutnie nic nie przygotowało mnie na to, co znalazłam w Tajlandii.

Nowoczesność, której wyznacznikiem od lat były beton, stal i szkło, w trudny do zrozumienia sposób idealnie współgrała w moich oczach z małymi, dawnymi budynkami, wzniesionymi przed nastaniem ery industrialnej. Delikatne, precyzyjne wzory, zdobiące fasady budynków sprzed lat, odbijały się w lustrach nowych wieżowców, pyszniąc się kunsztem swojego wykonania. Ogromne centra handlowe, graniczące z klinikami odnowy biologicznej i salonami tatuażu, były naturalną częścią tego świata. Świątynie konsumpcjonizmu, stanowiące serce nowoczesnego miasta, skupiały setki wyznawców błędzących w poszukiwaniu kolejnych rzeczy, które powinny znaleźć się w ich posiadaniu.

Mnie natomiast zachwyił pomnik stojący na placu otoczonym przez ogromne sklepy. Postument ten stał się dla mnie najdoskonalszą pochwałą czytelnictwa. Na ogromnej stercie spiżowych książek ustawiono figury dwójki dzieci. Nawet tam, na krańcu znanego mi wówczas świata, doceniano moc książki, przedmiotu tak niedowartościowanego w mojej własnej ojczyźnie. Bez zastanowienia wyciągnęłam niewielki, dość wiekowy aparat fotograficzny i zrobiłam kilka zdjęć na pamiątkę tego, że udało mi się odnaleźć cząstkę swojej utraconej osoby.

Idąc przed siebie, dotarłam do wysokiego muru, sponad którego wychylały się złocone, spiczaste dachy i mityczne zwierzęta, przywodzące na myśl smoki z chińskich bajek, jakie oglądałam jeszcze jako dziecko. Odnalazłam monumentalną bramę, zapraszającą ciekawskich do środka. Czytając tablicę informacyjną, sporządzoną również po angielsku, dowiedziałam się, iż wkroczyłam na teren świąty. Przed moimi oczami roztaczał się bowiem jeden z wielu Watów – miejsc kultu spotykanych w całej Tajlandii. Zdjęłam buty, zostawiając je we wskazanym miejscu i krocząc po schodach, dotarłam do serca kompleksu, w którym dostrzegłam przepelnioną spokojem kamienną postać Buddy.

Zjadłam również najniezwyklejszy posiłek w całym moim życiu, na który składało się kilka przekąsek kupionych na ulicznych straganach, napotykanym przeze mnie na różnych odcinkach ulic, którymi spacerowałam. To właśnie dzięki nim miasto przesycone było zapachem jedzenia i miliona przypraw, drażniących nozdrza nienawykłych do nich podróżnych.

Zaledwie kilka godzin lotu od domu odnalazłam wszystko to, czego ludzie poszukują na całym świecie. Do mojej dyspozycji pozostawały niezwykle zabytki, zdające się niemal wołać: „sprawdź co możemy ci zaoferować”, przepyszne, aromatyczne i niezwykle ostre potrawy, tłum, w którym można się zagubić i

miejsca, w których dzięki wyciszeniu można odnaleźć samego siebie. To właśnie w watach osoby szukające odskoczni od pędu życia, chcące poznać odpowiedzi na dręczące ich dylematy natury egzystencjalnej, miały zapewnioną ciszę i spokój.

Paradoks Bangkoku, który dostrzegłam już po kilku godzinach, polegał właśnie na kontrastach – ciszy i nieustannego szumu, przechodzącego w gwar, ale też zestawienia tego co stare z tym, co nowoczesne. Tradycje i wiara mieszały się tam w jednym nurcie z zabawą i rozrywką w najczystszej postaci.

Wcześniej, zanim jeszcze odkryłam, że moje idealne, niemal wzorcowe małżeństwo było jedynie fikcją, sądziłam, podobnie zresztą jak Håkan, że Tajlandia jest rajem dla podstarzałych lowelasów, zjeżdżających tam jedynie w celu dokonania seksualnych podbojów najróżniejszej maści. Pierwsze godziny w tym niezwykle kraju przyniosły zupełnie odmienne odczucia. Ku własnemu zaskoczeniu, trafiłam do miejsca przyjaznego dla kobiet, przynajmniej tych ze świata zachodniego. Nikt nie zaczepiał mnie na ulicy, nikt nie nagabywał do niecnych czynów, wszyscy wokół, uśmiechając się życzliwie, zdawali się być zupełnie nie z tej bajki. Oczywiście odmienną kategorię stanowili dla mnie kierowcy Tuk-Tuków, małych trzykołowców będących lokalnymi taksówkami. Ci bowiem trąbili i zagadywali mnie niemal co chwilę. W ich oczach byłam chodzącym dolarem, będącym potencjalnym źródłem zarobku.

Jednak dopiero wieczorową porą w pełni zachłysnęłam się odzyskaną na powrót wolnością, która zdawała się smakować świeżością, szaleństwem i beztrąską. Ruszyłam na podbój nocnych klubów, dyskotek i barów wypełnionych turystami z całego świata, którzy, tak jak ja, chcieli zapomnieć o pozostawionej za sobą codzienności. Bezczelnie flirtowałam z przystojnymi młodzieńcami z Australii, pozwoliłam sympatycznemu Amerykaninowi, urzeczonemu moim niezwykle akcentem, zaciągnąć się na piwo... Po prostu bawiłam się, jakbym znowu miała dwadzieścia osiem lat. Jakbym była panią swojego życia!

Następne dwa dni reszty mojego życia, jak zwykłam wtedy mawiać, można podsumować w kilku prostych zdaniach. Czulałam się niczym statystka w nowej wersji klipu do starego hitu „One Night in Bangkok”. Imprezy, radość, śmiech. To wszystko zlewało się w jedno. Kolorowe światła ulicy Soi Cowboy, znanej chociażby z drugiej części „Kac Vegas”, przyciągały mnie do siebie niczym ćmę. Nowoczesna muzyka, rozbrzmiewająca z ogromnych głośników, przechodziła w niemal niesłyszalne mantry szeptane w zaciszach lokalnych świątyń. Totalna schiza i zaczątek stanów psychodelicznych – tak postrzegam to teraz, jednak wbrew pozorom, nie żałuję tego. Prawdopodobnie było mi to potrzebne, by odreagować miesiące zamknięcia i izolacji od prawdziwego świata i ludzi.

Wracając jednak do moich pierwszych dni w Tajlandii, muszę stwierdzić, że

po dwóch nocach, które tam spędziłam, miałam za sobą może siedem, może osiem godzin snu. Szkoda mi było czasu spędzonego w hotelu. Pragnęłam jedynie nowych doznań, w których próbowałam doszukać się samej siebie. Tej znanej sprzed małżeństwa z Håkanem Svenssonem.

## Rozdział VII

Co przerwało to istne szaleństwo? Zdjęcia, które przypadkowo zobaczyłam na jednym z biurek ustawionych w recepcji. Pamiętam, już świtało, gdy weszłam do rozświetlonego setką żarówek holu i pchnięta niewytłumaczalnym przecuciem, zaczęłam przeglądać katalog lokalnego biura podróży. Jedno z ujęć utkwiło mi w pamięci na tyle mocno, iż po przebudzeniu postanowiłam zobaczyć to miejsce na żywo. Niestety, wycieczka wyjechała piętnaście minut wcześniej.

Zawiedziona, wyszłam na ulicę, zastanawiając się, jak spędzić mój ostatni dzień w Bangkoku, by był on ciekawy i różnił się od wcześniejszego szaleństwa. Pod wpływem impulsu zaczęłam jednego z kierowców taksówek i wymieniając nazwę miasta, zapytałam o koszt całodziennego wyjazdu. Ku memu zaskoczeniu, podana kwota okazała się nieco niższa niż uczestnictwo w zorganizowanej grupie. Upewniłam się jeszcze raz czy dobrze zrozumiałam, rozsiadłam się na tylnym siedzeniu samochodu i rozkoszowałam się przeszło godziną przejażdżką. W ten oto sposób, po dwóch dniach w wielkim mieście, pojechałam w miejsce, gdzie odreagować miała moja dusza.

Zawitałam do na pozór małego miasteczka, które przez czterysta siedemnaście lat pełniło funkcję religijnej i politycznej stolicy regionu. Zgodnie z danymi zawartymi w przewodniku, który kupiłam przed wejściem do pierwszego kompleksu świątynnego, w obrębie Ayutthayi znajduje się przeszło pięćset watów!

Nie, nie będę zanudzać cię historycznymi szczegółami, gdyż one, chociaż ciekawe, nie mają nic wspólnego z moją historią, którą chciałam tu zawrzeć. Nie mniej jednak muszę przyznać, pokochałam to miejsce od pierwszego wejrzenia. Zafascynowana relikami przeszłości, spacerowałam wśród odnowionych oraz na wpół zniszczonych przez czas i ludzi sanktuariów, dotykając wiekowych głazów. Czytając wrywkowe informacje umieszczone w broszurce, próbowałam domyślić się ich prawdziwej przeszłości. Chciałam zapisać w swojej duszy to unikalne wrażenie, które rodziło się we mnie poprzez kontakt z tą przedziwną i zupełnie nieznaną dla mnie kulturą.

Otoczona przez trzy rzeki, Ayutthaya wydawała się niemal wyspą dryfującą na morzu wody. Niczym mityczna Atlantyda, w której koncentrowały się pałace, budynki użyteczności publicznej i niezwykle, zapierające dech w piersiach miejsca kultu.

Posiłkując się przewodnikiem, dowiedziałam się, iż Wat Mahathat, usytuowany pośrodku, miał stanowić centrum świata i wiary. Próbowałam zachwycać się na wpół zrujnowanym Prang (coś, co można by porównać do wieży), jednak mój wzrok cały czas poszukiwał czegoś zupełnie innego. Czegoś,

co łatwo było pominąć. O poranku, kiedy spacerowałam niemal pustymi ścieżkami, główny cel mojej wyprawy do dawnej stolicy krył się w cieniu drzewa, z którym był złączony na wieki.

Wtedy stanowiło to dla mnie mistyczną tajemnicę, do której dostęp zyskali tylko wybrani. Dziś wiem, uwięziona wśród korzeni głowa Buddy stanowi jeden z najbardziej rozpoznawalnych wizerunków miasta Ayutthaya.

Stojąc w ciszy, podziwiałam harmonię malującą się na kamiennym obliczu, spoglądającym na mnie ze stoickim spokojem. Nagle usłyszałam ciche, niemal niesłyszalne kroki osoby idącej w moim kierunku. Odwróciłam się nieznacznie i dostrzegłam mnicha, ubranego w tradycyjne, skromne, pomarańczowe szaty. Przystanął tuż obok i stwierdził, że zgodnie z miejscową legendą drzewo nie śmiało zasłonić świętego wizerunku, dlatego też okalało głowę, eksponując ją wśród swoich pędów.

– Nawet natura ma szacunek do Buddy, a to namacalny dowód na to – dodał, spoglądając na moje zafascynowane opowieścią oblicze.

Nie wiem, ile czasu spędziłam tamtego dnia w Wat Mahathat, bowiem rozmowa ze skromnym mnichem przerodziła się w burzliwą dyskusję na temat natury świata, życia i człowieczeństwa.

Gdybym nie była pewna, że spotkałam prawdziwą istotę, która poświęciła swoje życie wyższemu celom, mogłabym sądzić, iż pojawił się w moim życiu tylko po to, by wskazać mi właściwą drogę. Ale nie uprzedzajmy faktów, bowiem dzieli nas od nich jeszcze nieco czasu.

Nadal w skrytości ducha czasami wątpię, czy ten drobny, święty człowiek istniał naprawdę, bowiem nasza rozmowa o duchowości i roli na Ziemi przyniosła mi ogromną ulgę w bólu, który w sobie nosiłam. I chociaż po dziś dzień jestem praktykującą chrześcijanką, to te proste słowa buddysty docierały do mojego serca i duszy, kojąc rany zadane przez Håkana, nasze „małżeństwo na pokaz”, a także mnie samą.

Może się to wydać dziwne, a dla mnie do dziś pozostaje zagadką dlaczego tak się stało, ale właśnie tam, w cieniu drzew, których nawet nie potrafiłam wtedy nazwać, pośród ruin spalonej przez Birmańczyków Ayutthayi poczułam chęć rozliczenia się z przeszłością. Zrozumiałam, że powinnam wybaczyć mojemu mężowi wszystkie jego przewinienia, kłamstwa, ale również niedopatrzienia. Wybaczyć po to, by zamknąć za sobą pewien rozdział w życiu i przestać cierpieć z powodu przeszłości. Tylko dzięki temu ból ostatnich tygodni, tłący się we mnie od tak dawna, rzucający się cieniem na moją przyszłość, mógł przestać prześladować mnie każdego dnia. Trwając w nienawiści przeplatającej się ze smutkiem, stałam na najlepszej drodze do autodestrukcji.

– Jesteś młodą, inteligentną kobietą – rzekł drobny człowiek, wrywając mnie z wewnętrznego świata odczuć, zupełnie jakby czytał w moich myślach. –

Możesz dokonać wielkich rzeczy i pomóc wielu ludziom – wyszeptał cicho. Przez chwilę miałam nawet wrażenie, że to tylko szum wiatru igrającego w gałęziach drzew.

Nie czekając na moją odpowiedź, skinął lekko głową i zniknął między kolejnymi budynkami świętego kompleksu tak szybko, iż wydawał się być jedynie zjawą.

Zostałam sama, ale pierwszy raz od dawna nie czułam się samotna. Miałam siebie i musiałam nauczyć się, jak zachować się w obliczu wyzwania, które postawił przede mną los. Jeszcze chwilę spoglądałam na spokojne, lekko uśmiechnięte oblicze Buddy, po czym ruszyłam, pragnąc odkryć wszystkie tajemnice Ayutthayi i kraju, do którego niespodziewanie zawitałam. Przecież trafiłam do Tajlandii przez irracjonalne pragnienie odnalezienia rajskiej plaży. Zyskałam zaś niespodziewane ukojenie wśród kamieni, z dala od błękitnych lagun. Przywróciłam równowagę, którą dawno temu straciłam. I to był mój pierwszy mały sukces na drodze do odnalezienia siebie.

Opuszczając ruiny Wat Mahathat, wróciłam w myślach do białego piasku i palm kołyszących się pod wpływem lekkiej bryzy wiejącej od strony turkusowego morza.

„Gdzie ta rajska plaża?” – pomyślałam, idąc w stronę czekającej na mnie taksówki. Pod wpływem chwili zdecydowałam się nie przedłużać pobytu w Bangkoku. Chciałam jak najszybciej udać się do pobliskiego kurortu – Pattaya. Skoro turyści z całego świata zjeżdżali do tego miasta, to musiało się tam znajdować jakieś wybrzeże!

Zanim jednak powróciłam do Bangkoku, dane mi było zobaczyć między innymi ruiny niezwykłego Wat Chaiwatthanaram, zwanego małym Angkor Wat. Podobieństwo kambodżańskiego pierwowzoru już z daleka rzuciło się w oczy i przywodziło na myśl zdjęcia znane z magazynów podróżniczych. Oczywiście uwzględniając stosunkowo niewielką odległość dzielącą Siem Reap od Ayutthayi, oczywistością było wzajemne przenikanie się kultur oraz mieszanie, a nawet naśladownictwo wzorów i technik architektonicznych. Właśnie dzięki temu, bez podróży za granicę, mogłam podziwiać założenia klasycznej sztuki Khmerskiej.

Dlaczego do dziś pamiętam akurat tamto miejsce? To właśnie tam postanowiłam przełamać jedną z moich największych fobii – lęk przed wysokością. Wielu rzeczy, które wydarzyły się w tamtym czasie, nie potrafię racjonalnie wytłumaczyć, jednak faktem jest to, że zdecydowałam się na wspinaczkę, zdobywając szczyt najwyższego Prang. Pomijając już wysokość, musiałam stawić czoła naprawdę stromym schodom, ale w głębi duszy wiedziałam, że mogę i powinnam to zrobić.

Podchodząc do tego racjonalnie, można by było stwierdzić, iż prawdopodobnie chciałam w ten sposób odreagować napięcie nagromadzone we



mnie w związku ze stresem, który przeżyłam. Pragnęłam uwolnić się od niego, bowiem niewoliło moje ciało i umysł. Musiałam również poznać swoje własne limity, przesuwając je daleko poza przyjęte przeze mnie normy.

Czy mi się udało? Oczywiście! Mówiąc między nami, wdrapanie się do komory na szczycie okazało się dziecinnie proste. Owszem, bolały mnie mięśnie, ale niczym zwycięzca dotarłam do mety! Widok rozpościerający się z góry ukazywał w całej okazałości okoliczne ziemie i zabudowania. Nagle schody prowadzące w dół wydały się zbyt wysokie, zbyt strome i przerażająco trudne do pokonania. Przez jeden, krótki moment rozważałam pozostanie tam na zawsze, jednak zdrowy rozsądek podpowiedział mi, że prędzej czy później wyrzucą mnie z tych ruin, a kto wie czy nie deportują do Polski za znieważenie zabytku.

Wzięłam głęboki wdech i mrużąc nieprzyzwoite słowa, zaczęłam mozolną wędrówkę na poziom ziemi. Kiedy tylko stopa dotknęła kamiennej posadzki, poczułam, jakby ktoś podarował mi nową szansę. Szansę, której nie zamierzałam zmarnować!

## Rozdział VIII

Ostatni wieczór w Bangkoku diametralnie różnił się od dwóch poprzednich spędzonych na imprezowaniu. Nie było głośnej muzyki, alkoholu lejącego się hektolitrami ani opętanego nowoczesnością tłumu. Na próżno było doszukiwać się wokół mnie hałaśliwych, roześmianych turystów.

Zachód słońca spędziłam bowiem w Wat Arun – Świątyni Świtu, nazwanej tak na cześć hinduistycznego bóstwa poranka. Swoim wyglądem przywołała mi na myśl Wat Chaiwatthanaram, odwiedzony zaledwie kilka godzin wcześniej. Spektakularna architektura Khmerska została w nim połączona z kolorowymi zdobieniami, czyniącymi z niej coś wyjątkowego. Wtedy nie znałam etymologii słów ani faktów historycznych zawierających w sobie tak niezwykłą tajemnicę symbiozy religii i kultur, ale widząc tę budowlę, czułam, iż jest ona na swój sposób wyjątkowa.

Kompleks wzniesiono niemal nad samym brzegiem rzeki. Pnąc się wysoko w górę, stanowił w moim odczuciu przeciwagę dla bogato zdobionego pałacu królewskiego, pysznącego się po drugiej stronie wody. I chociaż Wat ten nie ociekał złotem ani nigdy nie posiadał w swoich zbiorach słynnej figurki Szmaragdowego Buddy, to oświetlony wieczorową porą stanowił perełkę, koło której nie można było przejść obojętnie.

Podziwiając precyzję rzeźbiarzy, którzy stworzyli reliefy pokrywające całą powierzchnię budowli, spacerowałam wokół niej. Nacieszywszy oczy wspaniałymi detalami, przysiadłam na jednej z ławeczek i zapatrzyłam się na ludzi kroczących w górę po schodach, próbując zachować w pamięci panoramę okolicy roztaczającą się ze środkowych poziomów. Po raz kolejny tamtego dnia pomyślałam o Håkanie i wiadomościach, które pozostawił mi na mailu i wszystkich możliwych platformach społecznościowych. Nosząc w sercu przebaczenie, które powinnam mu dać oraz fakt, że w świetle prawa pozostawałam jego żoną, byłam mu winna kilka słów. Z lekkim ociąganiem wyjęłam z kieszonki plecaka telefon komórkowy, który zawczasu zaopatrzyłam w lokalną kartę SIM i zadzwoniłam do domu.

Boże, jak dziwnie jest dziś myśleć o tamtym miejscu w kategoriach „domu”. Teraz wiem, że miejsce w którym się mieszka, nawet przez długie lata, to tylko mieszkanie. O ile nie ma w nim kochających oraz szanujących się wzajemnie osób, to nie zasługuje ono w żaden sposób na miano „domu”. Mimo luksusów i eleganckich dodatków, wewnątrz pozostaje bowiem puste, jeśli nie wypełni się go miłością i spontaniczną radością.

Słyszając sygnał w słuchawce, spojrzałam na zegarek. W Tajlandii minęła już dwudziesta pierwsza, zatem w Sztokholmie było już popołudnie. Zastanawiałam

się dlaczego Håkan nie odbierał. Kolejny sygnał i złowieszcza cisza, po której nastąpił piskliwy dźwięk w słuchawce. Już miałam przerwać połączenie, gdy usłyszałam zmieniony męski głos.

– Halo? – niemal wyszeptał do telefonu.

Szczerze mówiąc, nie byłam wcale pewna z kim rozmawiam. Nie wykluczałam nawet błędnego wybrania numeru i zwykłej pomyłki.

– Witaj – rzekłam tak po prostu, mając opory przed użyciem jego imienia.

– Elisabeth? Gdzie jesteś? Odchodzę od zmysłów, szukając cię po całej Szwecji. Zastanawiałem się nawet nad zawiadomieniem Missing People i skorzystaniem z ich pomocy! Wracaj do domu!

– Nie mam do czego wracać – odpowiedziałam zupełnie szczerze, nie bawiąc się w owijanie w bawełnę. – Chciałam ci jedynie dać znać, iż jestem cała i zdrowa. Oraz prosić byś mnie nie szukał i po prostu zapomniał o moim istnieniu.

– Jak to nie masz do czego wracać? – zaoponował, a w jego głosie można było usłyszeć oburzenie. – A dom? Ja? Nasze małżeństwo? – wyliczał kolejno.

Zaśmiałam się na wpół szczerze, na wpół ironicznie. Nie mogłam wprost uwierzyć, on naprawdę był przekonany, że jeszcze do niego wrócę. Ot, fenomen rozpadającego się związku, kiedy jedna ze stron naiwnie sądzi, że wszystko da się jeszcze posklejać. Znałam to doskonale z autopsji. Ostatnie tygodnie siedziałam z super glue w dłoni, łącząc odpadające od siebie elementy naszej relacji.

– Nasze małżeństwo od dłuższego czasu było fikcją, której podtrzymywanie przy życiu było ci na rękę – uświadomiłam go dość brutalnie. – O ile dobrze pamiętam, to również ty w końcu je zabiłeś, spędzając noc z Malin...

– Ale...

– Håkan, nie czarujmy się, bo ani to pora, ani miejsce. Jestem przekonana, że wasze pozazawodowe spotkania trwały już od dłuższego czasu! Kto wie, może zaczęły się jeszcze przed naszym ślubem! W końcu nienawidziła mnie od naszego pierwszego spotkania!

Odpowiedziała mi cisza i, co ciekawe, pamiętam, że wcale mi ona nie przeszkadzała! Czekając na jego komentarz, obserwowałam ludzi mijających mnie w pośpiechu, a także tych, którzy przybyli na wieczorną modlitwę. Dźwięki pierwszych słów szeptanych przez wiernych zaczynały powoli docierać do mych uszu.

– Zerwę z nią wszelkie kontakty – zaoferował niespodziewanie mój rozmówca.

Jego głos zaskoczył mnie jeszcze bardziej niż znaczenie jego wypowiedzi. Zapatrzona na najbliższe otoczenie, tak bardzo zagłębiłam się w tym świecie, iż zupełnie zapomniałam, że rozmawiam z... Nawet nie wiedziałam, jakim mianem powinnam go określać. Słowo „mąż” nie chciało przejść mi przez krtań, będąc zbyt jawnym kłamstwem. Nie mogłam jednak tracić czasu na rozważania, musiałam

skupić się na rozmowie.

– Zakończenie związku z Malin niczego nie zmieni. Pracujecie razem, jest twoją przełożoną – wytknęłam mu.

– Zmienię pracę! – szepnął, a w jego tonie słychać było pewnego rodzaju desperację.

– Nie ma takiej potrzeby – zapewniłam go – Lubisz swoje stanowisko, masz szansę na awans, zwiększenie swojego zawodowego prestiżu. Po co to zaprzepaszczać? Przecież i tak szybko znajdziesz sobie kogoś w nowej firmie. Mężczyzna, który raz zdradził, nie zmieni się nagle w czułego domatora – dodałam w ostatnim momencie, siląc się na szczerość.

– Potrzebuję żony! – wyznał w końcu cichszym głosem, jakby wstydząc się do tego przyznać. – Dobrze wiesz, jaką rolę odgrywają prośzone kolacje, wieczorne spotkania i...

Nie słuchałam dłużej jego wyjaśnień. Nie musiałam. Dzięki temu jednemu zdaniu zrozumiałam, iż Håkan się nie zmienił! Nie przemyślał swoich błędów ani nie doszedł do żadnych konstruktywnych wniosków. Po prostu potrzebował żony, która była w stanie zorganizować elegancką kolację dla szefów, prowadzić konwersację w kilku językach o sztuce, polityce czy rozrywce, co niezmiennie imponowało przełożonym. Mówiąc krótko – niezbędna mu była chodząca wizytówka, sprawiająca, by ci, którzy mają władzę, spojrzeli na niego łaskawym okiem.

– Rozumiem, w wielu kwestiach żona jest ci niezbędna – odpowiedziałam chłodno, czując jak lód mrozi moje serce, chociaż temperatura otaczającego mnie powietrza przekraczała dwadzieścia pięć stopni Celsjusza. – Jediną radą, jaką mogę ci dać w tym przypadku, jest zwrócenie się do adwokata w celu wszczęcia procedury rozwodowej oraz znalezienie nowej kandydatki na idealną panią Svensson!

– Słuchaj, załatwimy to inaczej – zaczął bardziej ugodowym tonem. – Powiedz gdzie jesteś. Zarezerwuję ci najlepszy hotel w okolicy, a także przeleję pieniądze do lokalnego banku, byś miała do nich stały dostęp. Spędź tydzień lub dwa w jakimś SPA, odpręż się, zrelaksuj, pójdz na zakupy, odwiedź okoliczne zabytki... – wyliczał kolejno. – Zrób coś tylko dla siebie, a kiedy poczujesz się lepiej, po prostu wróć do domu!

Pamiętam te słowa do dziś, chociaż zostały wypowiedziane tak dawno temu. To one ukazały mi Håkana w zupełnie innym świetle. Chyba dopiero wtedy poznałam tak naprawdę jego prawdziwą twarz. Być może został tak wychowany przez rodziców, ceniących zbytki materialne, być może nabrał tych cech dopiero z czasem, pracując w ogromnej korporacji. Jedno było pewne – jego zdaniem odpowiednio wysoka suma była w stanie załatwić wszystko, łącznie z przebaczeniem zdrady! Nie uczucia, nie skrucha, nie próba naprawienia

czegokolwiek, a pieniądze! Prawdopodobnie po dziś dzień są one dla niego narzędziem, za pomocą którego łatwo i bezproblemowo manipuluje ludźmi.

– Nie potrzebuję twoich pieniędzy – zapewniłam go szybko, by nie pomyślał, iż chociażby rozważam jego propozycję. – Jeśli jeszcze tego nie sprawdziłeś, nie zafundowałam sobie tych wakacji z twoich pieniędzy. Ba, nawet nie wzięłam ze sobą kart kredytowych, które wręczyłeś mi dawno temu. Wszystkie, wraz z obrączką, leżą w szufladzie nocnej szafki.

– Nawet nie jesteś w Europie – stwierdził nagle, chociaż jego słowa nie miały dla mnie żadnego logicznego powiązania z tematem rozmowy. – Widzę to po numerze telefonu.

– Nawet jeśli, to co to ma do...

– Za moment będziesz potrzebowała pieniędzy – przestrzegł mnie.

Poczułam jak narasta we mnie gniew, którego za wszelką cenę nie chciałam mu okazać.

– Nawet jeśli tak się stanie, to możesz być pewien, że nie sięgnę po twoje – zapewniłam go z pozornie stoickimi spokojem. – A teraz wybacź, muszę już kończyć! Inaczej ta rozmowa będzie mnie zbyt dużo kosztować... Żegnaj!

– Elizabeth, poczekaj – usłyszałam jeszcze w słuchawce, ale nie spełniłam jego prośby.

Nie, wbrew temu, co powiedziałam, nie martwiłam się kosztem tego jednego połączenia ze Szwecją. Po prostu zyskałam stuprocentową pewność, dalsze dyskusje nie miały najmniejszego sensu, bowiem Håkan nie zrozumiał przyczyn mojego wyjazdu.

Wstałam z ławeczki, na której siedziałam od dłuższej chwili, i wolnym krokiem ruszyłam w stronę przystani promowej, by przeprowić się na drugą stronę rzeki. Uśmiechając się do swoich myśli, zastanawiałam się, co przyniesie następny dzień i wyjazd do pobliskiego kurortu. Siedząc na pokładzie niewielkiego stateczku, nazywanego szumnie promem, odwróciłam się w stronę oddalającego się brzegu rzeki, by po raz ostatni spojrzeć na świątynię, u podstaw której leżała harmonia łącząca wierzenia buddyjskie i hinduistyczne z khmerską architekturą.

## Rozdział IX

Pattaya powitała mnie słońcem, tłumem śpieszącym się we wszystkich możliwych kierunkach oraz absolutną dezorientacją! Opuszczając maleńki terminal, mieszczący na swoim terenie zaledwie kilka kas i sklepików, nie miałam żadnego pomysłu, w którą stronę powinnam się udać. Ściskając w dłoni maleńką karteczkę z zapisanym na niej adresem zarezerwowanego wieczorem hotelu, próbowałam jednocześnie nie zabić kogoś przypadkiem moim wypchanym plecakiem.

Po chwili walki z dziesiątkami przepychających się ludzi, udało mi się wyjść na zalaną światłem słonecznym ulicę i ujrzeć kilkanaście zaparkowanych chaotycznie Tuk-Tuków. Podeszłam do jednego z nich i zapytałam kierowcę czy mógłby mnie zabrać w wybrane przeze mnie miejsce.

– You sure? – wydukał łamaną angielszczyzną, po dłuższej chwili milczenia, jakby chcąc się upewnić, czy na pewno podałam mu właściwy adres.

Przytaknęłam, nie bardzo rozumiejąc zdziwienie malujące się na jego twarzy. Co potencjalnie mogło być nie tak z moim hotelem? Opis, który znalazłam na portalu rezerwacyjnym, był przecież precyzyjny: „Mały. Cichy. Blisko centrum. Wysoki standard za małe pieniądze!” Tak właśnie opisałabym idealne lokum dla mnie.

– You really sure? – zapytał ponownie mężczyzna wciśnięty w małą szoferkę niewielkiego pojazdu.

– Yes! – potwierdziłam po raz kolejny, marząc o zakończeniu tej niezwyklej konwersacji i dostaniu się do pokoju hotelowego, który na mnie czekał.

Mężczyzna, cały czas się uśmiechając, wzruszył ramionami i dał znać, bym zapakowała swój plecak i samą siebie do środka. Zanim na dobre zdążyłam rozlokować się na twardej siedzeniu, rozpoczęła się szaleńcza jazda po mieście. Mijaliśmy setki, jeśli nie tysiące innych trąbiących pojazdów, skręcając w najróżniejsze, niejednokrotnie maleńkie, jednokierunkowe uliczki. Mniemam, iż był to swoisty patent na uniknięcie korków, bowiem z biegiem czasu i wciąż zwiększającą się liczbą przejazdów przestałam na to zwracać uwagę. Kiedy już sądziłam, że nigdy nie odnajdziemy mojego hotelu, wjechaliśmy w kolejną niepozorną uliczkę, a potem odbiliśmy w bok, by ostatecznie zatrzymać się na samym końcu cywilizowanego świata. Przynajmniej tak mi się zdawało!

Kierowca nadzwyczaj szybko przyjął należną mu sumę i odjechał praktycznie z piskiem opon. Spojrzałam w ślad za nimi, współczując mu jego stresującej pracy. Prawdopodobnie musiał bez przerwy jeździć, by zarobić na godne życie.

I dopiero wtedy zorientowałam się, gdzie ja sama się znalazłam!

Rozejrzałam się i dosłownie oniemiałam. Pamiętam, jak stałam na środku ulicy, próbując balansować między popękanymi fragmentami asfaltu, nie rozumiejąc, co to za miejsce. Szybko dostrzegłam piękne kobiety o cudownych, długich włosach oraz ich ciała rozebrane do granic możliwości! Zajmowały one większość miejsc w okolicznych barach, wisząc na ramionach starszych i prawdopodobnie nieźle już wciętych mężczyzn. Ku memu zdziwieniu, one też zwróciły na mnie uwagę i szepcząc coś między sobą, zaczęły wskazywać w moim kierunku. Odwróciłam się, nie chcąc stać się na dzień dobry tematem do lokalnych plotek. Dostrzegłam salon masażu. Super! Tajlandia z nich słynie, więc wygląda na to, że zwykli turyści zaglądają często w te strony. I kiedy już miałam chwycić swój plecak, dostrzegłam, że pracownice owego miejsca nie różnią się wizualnie od bywalczyń baru po drugiej stronie ulicy! Ich mocne makijaże, niemal przerysowane do granic możliwości, na jeden, krótki moment odciągały wzrok od przykrótkich spódniczek, niepozostawiających żadnego pola dla wyobraźni.

Nagle wszystko stało się jasne! Zamknęłam oczy i, biorąc głęboki wdech, zrozumiałam, iż jakimś cudem, chociaż raczej powinnam mówić o pechu, trafiłam do tajskiego odpowiednika „dzielnicy czerwonych latarni” w Amsterdamie! Pozostawała tylko jedna kwestia do wyjaśnienia! Czyżby kierowca Tuk-Tuka pomylił adres bądź też, nie mogąc znaleźć właściwego, porzucił mnie gdziekolwiek? Czy też to ja, na własne życzenie, z chęci oszczędzenia na noclegu wpakowałam się w to bagno?

Przypomniawszy sobie wątpliwości mężczyzny, doszłam do wniosku, że w zaistniałej sytuacji nie było jego winy. Kiedy otworzyłam ponownie oczy, zyskałam potwierdzenie tej teorii. Tuż przed sobą zobaczyłam bowiem małe drzwiczki prowadzące w ciemność, nad którymi wisiał szyld z nazwą zgodną z tą w mojej rezerwacji. Cóż, gorzej już być nie mogło dlatego weszłam do środka, ciągnąc za sobą swój plecak.

Kilka chwil później nauczyłam się jednej życiowej lekcji – nigdy nie jest tak źle, by nie mogło być gorzej! Ale zanim to się stało, przeżyłam jeden z największych szoków w moim życiu. Co prawda dziś widok ten nie wywołuje we mnie większych emocji, ale wtedy odebrał mi na moment umiejętność wydobywania z gardła chociażby jednego sensownego dźwięku. Zobaczyłam bowiem faceta, jak babcię Adelę kocham, najprawdziwszego faceta w krótkiej dżinsowej spódniczce, białej opiętej koszulce, z pięknymi długimi włosami i... pokaźnych rozmiarów biustem! Przynajmniej dwa rozmiary większym od mojego własnego!

Pamiętam, jak wgapiając się w ten dziw natury i skalpela chirurgicznego, pomyślałam sobie: „Głupia jesteś! Po prostu masz przed sobą niezbyt urodziwą dziewczynę. Powinnaś się wstydzić, a nie wymyślać ludziom od transwestytów!”

– W czym mogę pomóc? – usłyszałam w tym czasie nieco egzaltowany, ale z

pewnością męski głos.

Niewątpliwie należał on do recepcjonisty, chociaż nie byłam pewna, czy nie powinnam określać go mianem recepcjonistki.

Wpatrując się w jego/jej biust, nie mogłam wypowiedzieć żadnego sensownego słowa, bowiem na usta pchało mi się tylko jedno, jedyne zdanie:

„Nie wiem kto ci robił cycki, ale wyszły świetnie!”

– Mam rezerwację na cztery noce – wydukałam w końcu łamiącym się głosem, próbując nie patrzeć na silikonowy biust wylewający się zza dekoltu mikroskopijnych rozmiarów koszulki.

Recepcjonista, chociaż technicznie rzecz ujmując recepcjonistka... Ach, to nastarcza zbyt wielu problemów i dylematów natury semantyczno-moralnej, więc może spróbujemy inaczej, skupiając się na pełnionej funkcji. Więc, tak – osoba pracująca w recepcji przyjęła ode mnie dokumenty, uderzyła kilka razy swoimi długimi, wypielęgnowanymi paznokciami po klawiaturze komputera i wymieniła należną kwotę.

Bez chwili zwłoki podałam swoją kartę płatniczą, chcąc jak najszybciej opuścić niewielkie pomieszczenie i przestać zastanawiać się, ile może liczyć sobie tutaj chirurg za korekcję biustu.

– Kart nie akceptujemy – dotarł mnie stłumiony głos zza kontuaru. – Tylko gotówka.

O nie, nie, nie! Nie dam sobie kłamać w żywe oczy! No dobrze, niekoniecznie są to słowa, które akurat wtedy przyszły mi do głowy. Miałam ochotę „rzucić mięsem” i to takim niezwykle soczystym, chociaż podobne zachowanie nigdy nie leżało w mojej naturze! Niestety ta z pozoru niewinna uwaga wywołała we mnie stan bliski hysterii, będącej zapewne skutkiem szeregu elementów wpływających na całokształt tamtej chwili.

– Na rezerwacji widnieje dokładna informacja, akceptują państwo Visa i Mastercard! Wręczyłam kartę i oczekuję, iż należna płatność zostanie niezwłocznie z niej ściągnięta.

– Kart nie akceptujemy – osoba z recepcji powtórzyła swoje poprzednie słowa. – Tylko gotówka!

Złamałam swoje wewnętrzne zasady i zaklęłam w myślach tak, że nawet przysłowiowy szewc mógłby się czegoś ode mnie nauczyć. Dodatkowo zwymyślałam od cyncatych robotów bezduszną istotę znajdującą się kilkadziesiąt centymetrów ode mnie. Tak, wiem, psycholog powiedziałaby, że odczuwałam niezdrową zazdrość związaną z biustem, chociażby napompowanym plastikiem. Prawdopodobnie dodałby również fragment o uprzedmiotowianiu ludzi poprzez uleganie stereotypom.

– Nie mam gotówki – stwierdziłam, siląc się na cierpliwość. – Zgodnie z warunkami rezerwacji chcę dokonać płatności kartą – powtórzyłam z uporem



godnym maniaka.

– Kart nie akceptujemy – usłyszałam w odpowiedzi. – Tylko gotówka.

Wtedy właśnie pojęłam, ten słowny ping pong mógł trwać w nieskończoność. U jego podstaw zaś tkwiły dwa zasadnicze powody: albo osoba stojąca przede mną była tak bezdennie bezmyślna (nie jestem pewna czy można tak powiedzieć, ale wtedy akurat tak właśnie myślałam), albo nie znała języka angielskiego w stopniu umożliwiającym swobodną komunikację.

– Chcę rozmawiać z właścicielem – zażądałam, mając nadzieję na spotkanie z kimś bardziej przyjaznym gościom.

– Nie ma. Zresztą on też powie, że kart nie akceptujemy, tylko gotówkę – stwierdziła obsługa recepcji.

Poczułam się jak studentka pierwszego roku ekonomii. Pamiętam, iż na dźwięk pytania o dziekana jego sekretarka niemal zawsze odpowiadała: „Pana dziekana nie ma. Pana dziekana nie będzie.” Poirytowana zarówno nagłym wspomnieniem, jak i aktualną konwersacją zapytałam więc zaczepnie:

– Żyjemy w cywilizowanym świecie i właściciela tego przybytku chyba stać na telefon komórkowy, prawda?

Nagle przypomniałam sobie słowa zawarte w niewielkim przewodniku internetowym, który przeczytałam w czasie postoju w Doha. „Mieszkańcy Tajlandii wiecznie się uśmiechają, a do złych manier należy publiczne okazywanie złości czy zniecierpliwienia”. Dlatego też „szczerząc zęby jak głupi do sera”, próbowałam za wszelką cenę zachować spokój.

Jeśli czekałam na jakąś werbalną odpowiedź na moje z natury hipotetyczne pytanie, to niestety powinnam poczuć szczyry zawód, bowiem usłyszałam jedynie obrażone fuknięcie, które można opisać jednym słowem – foch.

Uwierzysz? „Osoba pracująca w recepcji” strzeliła focha! I to za co? Za moją chęć rozmowy z właścicielem! Nie mniej jednak muszę nadmienić, szybko wybrała jakiś numer, po czym bez słowa wręczyła mi słuchawkę telefonu.

– Halo – męski głos po drugiej stronie telefonu mówił z wyraźnym niemieckim akcentem.

– Witam! – zaczęłam pogodnym tonem, licząc na zrozumienie mojej sytuacji. – Jestem gościem pańskiego hotelu i zgodnie z warunkami mojej rezerwacji mam możliwość płatności za pokój kartą, jednak...

Nie dane mi było dokończyć zdania, bowiem usłyszałam dobrze mi znane stwierdzenie:

– Kart nie akceptujemy. Tylko gotówka.

– Dlaczego zatem umieszczają państwo mylące, chociaż waham się czy nie powinnam użyć słowa „zakłamanie”, informacje w systemie rezerwacyjnym? – zapytałam, przystępując do ataku.

Słów, które posłużyły za odpowiedź nie przytoczę, bowiem zawierały zbyt

wiele określeń powszechnie uznawanych za obraźliwe. Większość z nich stanowiły epitety określające nie tylko mnie samą, ale również osobę moje szanownej rodzicielki! Dodatkowo część z nich została wykrzyczana po niemiecku. Nie rozwodząc się zbytnio nad „empatia” mężczyzny po drugiej stronie telefonu, można stwierdzić, iż całość wypowiedzi sprowadzała się do jednej tylko kwestii: „Mam w dupie systemy rezerwacyjne! Wyskakuj w tej chwili z gotówki albo pociągnę cię do odpowiedzialności finansowej za niewypełnienie obowiązku płatniczego!”

Nie mając wyboru, uległam naciskom pyskatego właściciela i „cycatego faceta”, jak zaczęłam go określać, w nosie mając poprawność polityczną. Wyciągając kolejne banknoty z portfela, miałam tylko nadzieję, iż standard pokoju okaże się zgodny z opisem znajdującym się na rezerwacji.

Cóż, mawia się, że naiwność zawsze kosztuje najwięcej... Jeśli tak faktycznie jest, to tamtego dnia byłam wyjątkowo bezmyślna! Pokój zaprezentowany mi kilka minut później prawdopodobnie nie miał nawet okazji podziwiania fotografii, której czarno-biały wydruk znajdował się w moich dokumentach. Omiotłam spojrzeniem niewielkie wnętrze i stwierdziłam, że łóżko, na którym miałam spać, ledwo trzymało się kupy, chwiejąc się na nierównych nogach z nie do końca oheblowanego drewna. Zdobiąca je narzuta prawdopodobnie pamiętała swoje zdecydowanie lepsze czasy, które niechybnie minęły kilka lat wcześniej. Niewielki nocny stolik był płataniną nieskładnie nachodzących na siebie prętów przykrytych czymś na kształt szerokiej deski, zaś ściany zamykające wnętrze w całość krzyczały „odmalujcie nas!” Ach, o mało nie zapomniałam o całej masie przymusowych współlokatorów – komarów, które prawdopodobnie urządziły sobie w tym pokoju terytorium lęgowe!

„Pięciogwiazdkowy standard za rozsądną cenę” – powtórzyłam w myślach hasło, którym reklamowano ten „pozał się Boże” hotelik. Być może wyszeptałam coś na głos lub przerożenie malujące się w mych oczach było tak bardzo widoczne, iż „cycaty facet” wycofał się po cichu, opuszczając niepostrzeżenie pokój, w którym nie miałam ochoty spędzić następnych pięciu minut, nie mówiąc już o czterech dniach!

„Obskurna rudera w bezpośrednim sąsiedztwie kilku podrzędnych burdeli” – taki napis powinien widnieć na wszystkich portalach internetowych oferujących wykupienie noclegu w tym miejscu. Nie, nie mam na myśli druczku małymi literkami, którego nikt nie czyta. Powinni umieścić to podsumowanie tuż nad przyciskiem „Rezerwuj”!

Dziś wiem, właśnie po to wymyślono TripAdvisor, by można było przestrzec innych przed tego typu miejscami. Wtedy jednak miałam ochotę sięść i płakać! Niestety nawet tego nie byłam w stanie zrobić! Wygląd prześcieradła, które

ukazało się mym oczom po odrzuceniu narzuty, wskazywał na to, iż ktoś używał go przede mną i to dość długo! Im dłużej pozostawałam w tamtym pomieszczeniu i odkrywałam coraz to nowe „atrakcje,” tym większe ogarniały mnie mdłości. Jedno było pewne, nie mogłam tam zostać! Håkan właśnie w takim miejscu chciał mnie zobaczyć, bym skruszona wróciła do niego na kolanach! Niedoczekanie jego!

Jak na skrzydłach anioła zemsty pognałam do recepcji i spytałam o możliwość cofnięcia rezerwacji na pozostałe dni pobytu, z wyłączeniem już rozpoczętej doby hotelowej. W ten sposób mogłabym przecież odzyskać chociażby część wydanych pieniędzy.

– Możesz się wyprowadzić nawet teraz – odrzekł „cycaty facet” mówiąc mi na ty, a złośliwość brzmiąca w jego głosie pokazywała, że nawet nie próbował kryć się ze swymi odczuciami. – Ale nie przewidujemy refundacji zarezerwowanych z góry nocy!

– Wszędzie istnieje możliwość odwołania rezerwacji – uświadomiłam go natychmiast, jak ostatnia naiwna sądząc, iż w tym podrzędnym hotelu panowały ogólnie przyjęte zasady obsługi gości.

– Wszędzie też przyjmują płatności kartą – mruknął w odpowiedzi, po czym zaczął klepać pazurami po klawiaturze, ucinając tym samym wszelkie próby dalszej dyskusji.

Mogłam co prawda spierać się z nim na temat zasad, jednak mając w pamięci słowną grę w ping ponga sprzed kilkunastu minut, zaniechałam dalszych dyskusji. Chwyciłam klucz od pokoju i jak oparzona wybiegłam na ulicę. Nie patrząc na otaczający mnie tłum, szłam do przodu, mając nadzieję na odnalezienie jakiejś ogólnie uczęszczanej ulicy. W zaistniałej sytuacji mogłam zrobić tylko jedno: Znaleźć inny hotel! I to bez względu na cenę!

## Rozdział X

Lubisz podejmować wyzwania rzucone przez los? Potrafisz dokonać rzeczy niemożliwych? Jeśli na jedno z tych pytań odpowiedziałas tak, to powinnaś spróbować znaleźć pokój w przyzwoitym, powtarzam przyzwoitym hotelu w Pattaya, od tak wchodząc do recepcji prosto z ulicy! Zapewniam, że jest to prawie absolutnie niemożliwe!

Niezależnie w którą stronę skierowałam swoje kroki, wszędzie słyszałam jedną odpowiedź: nie mamy miejsc! Po kilku godzinach próżnego poszukiwania noclegu tylko jeden, jedyny człowiek zdobył się względem mnie na szczerą, mówiąc:

– Będzie lepiej, jeśli dokona pani rezerwacji za pomocą agencji podróży bądź portalu internetowego.

Należę do istot rozumnych, przynajmniej w moim odczuciu, dlatego w mig pojęłam, o co chodzi. Żaden szanujący się hotel nie chce się stać przez przypadek przybytkiem wynajmowanym na godziny bądź rudera podobną do miejsca, w którym pechowo zarezerwowałam nocleg. Prawdziwe kurorty turystyczne, niezależnie od tego czy mogą się pochwalić dwiema, czy pięcioma gwiazdkami, z premedytacją zrezygnowały z przyjmowania niezależnych gości, szukających pokoju w ostatniej chwili. Być może tracili w ten sposób kilku klientów, ale za to ratowali reputację.

„Myślenie nie boli, a kombinowanie może przynieść nader spektakularne efekty”. To jedna z rzeczy, których nauczyłam się tamtego dnia. Siedząc w nadmorskiej kawiarence i popijając mrożoną kawę (na gorącą było zdecydowanie zbyt ciepło), w chwili olśnienia przypominałam sobie o koleżance ze szkolnej ławy na kursie szwedzkiego, której mąż – miłośnik golfa – spędzał długie tygodnie właśnie w Pattayi! Czy istniała zatem osoba, która mogła udzielić mi lepszych informacji na temat sposobu wybrnięcia z moich kłopotów? Chyba nie!

Nie zastanawiając się długo, wyjęłam z plecaka telefon i wystukałam na klawiaturze jej numer. Z cierpliwością godną pochwały przebrnęłam przez kilka słów wstępu, by zdradzić jej cel mojego telefonu. Od słowa do słowa streściłam jej nie tylko moją aktualną sytuację, ale też powody, dla których tak niespodziewanie znalazłam się w Tajlandii.

– Cóż, co do decyzji o ucieczce, sama wiesz najlepiej, – mruknęła dyplomatycznie – natomiast jeśli chodzi o miejsce w hotelu, to proszę zadzwoń do mnie za dwadzieścia minut. Być może będę miała dla ciebie dobre wieści – pocieszyła mnie szybko – Hotel, o którym myślę, położony jest na uboczu, w cichej dzielnicy. Być może nie należy do najtańszych, ale też daleko mu do

poziomu cen kurortów z najwyższej półki. Znajdziesz tam czysty pokój, miłą obsługę, dobre jedzenie i małą, za to prywatną plażę, położoną zaledwie kilkaset metrów od recepcji.

– Wiesz, że właśnie opisałaś raj? – zapytałam, nie wierząc w swoje własne szczęście.

– Wstrzymaj się jeszcze chwilę – upomniała mnie. – Muszę skontaktować się ze znajomym managerem i sprawdzić czy w ogóle ma dla ciebie wolny pokój – przypomniała, otrzeźwiając mnie nieco z marzeń snutych być może na wyrost.

Bóg wysłuchał moich modlitw! Dlatego też kolejne czterdzieści minut mojego życia wyglądało jak żywcem wyjęte z niemego filmu, na którym wszyscy śmieją się do łez. Nie będę zbytnio zanudzać szczegółami, dlatego skrócę to zaledwie w kilku zdaniach.

Najpierw zaliczyłam szaleńczy powrót do królestwa „cycatego faceta”, gdzie wbiegłszy dosłownie na ułamki sekund na górę, chwyciłam swój duży plecak. Zapakowałam go potem do czekającego na mnie Tuk-Tuka i pojechałam wprost do nowego hotelu, w którym zameldowałam się w tempie ekspresowym. Po czym zanurzyłam się w strumieniu ciepłej wody płynącej z dyszy prysznicowa w eleganckiej łazience przestronnego pokoju, z wyjściem wprost na ogród i basen. Jednym słowem: raj! Naprawdę wtedy nie było mi niczego więcej potrzeba do szczęścia.

A teraz test spostrzegawczości! Jakiego ważnego elementu nie wymieniłam? Co pominęłam w owych czterdziestu szaleńczych minutach, mających wyzwolić mnie od bólu głowy spowodowanego nieciekawą lokalizacją mojego potencjalnego ośrodka noclegowego? Tak! Nie wymeldowałam się ze swojego dawnego pokoju! Mało tego! Nie oddałam nawet klucza!

Do dziś wspominam, zresztą z dużą dozą satysfakcji, zdeorientowaną minę recepcjonisty/recepcjonistki, kiedy z plecakiem na ramieniu schodziłam po schodach. Odnotowałam również zmianę jego oblicza, gdy pojął, iż opuszczam hotel z kluczem. Odjeżdżając z ulicy podrzędnych burdeli, widziałam jeszcze jak wybiega za mną w swoich niebotycznie wysokich obcasach i mini podkreślającej jego jędrny, ku mej rozpacz, tyłek.

Skoro zarówno on, jak i właściciel tego wątpliwego przybytku rozkoszy od początku utrudniali mi każdy etap egzystencji, to ja również nie byłam zobligowana do oddania im pokoju tamtego dnia. W końcu zapłaciłam za niego! Nie, nie zabrałam go ze sobą na pamiątkę. Pojawiłam się tam dopiero po czwartej nocy i dokonałam standardowej procedury wymeldowania. Uczuć malujących się na twarzy osoby pracującej w recepcji nie da się opisać. Ulga, błogi spokój i ogromna radość, plus coś, czego do dziś nie potrafię nazwać. Wybiegłam w swej opowieści nieco w przyszłość pisząc o zakończeniu tej małej afery hotelowej akurat teraz, ale wynika to z faktu, że nie zamierzam więcej wracać, nawet w

myślach, do osoby „cycatego faceta” z recepcji.

Wspomniałam już, iż tamtego pamiętnego pierwszego dnia w Pattaya nauczyłam się kilku nowych rzeczy na temat życia. Jak więc brzmiała kolejna lekcja? Można ją podsumować jednym zdaniem:

„Na jakości snu i warunkach, w których się on dokonuje, nie można oszczędzać”!

Gdybym miała ową świadomość dzień wcześniej, gdy rezerwowałam pokój przed wyjazdem z Bangkoku, z pewnością wyszukałabym coś w odpowiednim przedziale cenowym, darując sobie marnotrawstwo niemal czterech tysięcy bahtów pozostawionych w obskurnym hoteliku.

Cóż to jednak, jak mawia stare porzekadło – mądry Polak po szkodzie – dlatego też nie mam co więcej tego rozpamiętywać, ale uważam za stosowne przestrzec tych, którzy nie mają jeszcze tej świadomości. Sama zaś zapłaconą cenę uznaję za należność za poznaną mądrość życiową, która jeszcze kilkakrotnie przydała mi się w życiu.

## Rozdział XI

Poranek powitał mnie ciepłymi promieniami słońca, dlatego też zdecydowałam się rozpocząć dzień od kilku chwil nad morzem. Co prawda, już dnia poprzedniego udało mi się dojrzeć skrawek plaży w centrum, jednak na tą w okolicach hotelu nie udało mi się dotrzeć. Założyłam pierwsze lepsze szorty oraz bluzkę i nie oglądając się za siebie, prawie na palcach ruszyłam przez pusty hotelowy korytarz.

Czując zapach wody, szłam wprost przed siebie, aż dotarłam do schodów prowadzących mnie wprost do małej piaszczystej plaży. Spojrzałam w dół i marząc o zanurzeniu stóp w chłodnej morskiej toni, niemal jak na skrzydłach zbiegłam w dół. Zanim jednak zdołałam spełnić swoje pragnienie, zamarłam. Zabrakło mi powietrza, zupełnie jakby niewidzialna dłoń zacisnęła się na mojej krtani i trzymała tak długo, aż kompletnie zsinieję.

Co zobaczyłam? Trzy absolutnie wygłodzone psy, leżące w cieniu jednego z drzew rosnących na wąskim pasie zieleni pomiędzy plażą a betonowymi schodami. Owszem, w Bangkoku widziałam dwa psiaki błakające się po ulicach, ale żaden z nich nie wyglądał jak chodzący szkielet.

Zastanawiając się, co powinnam zrobić, analizowałam wszystkie za i przeciw. Trudno mi było stwierdzić jaki stosunek do ludzi mogą mieć na wpół zdziczałe psy pilnujące swego terytorium. I właśnie w momencie, kiedy trawiły mnie największe wątpliwości, jeden z nich zamierdał radośnie ogonem na mój widok. Zachęcona tym przyjaznym gestem, podeszłam nieco bliżej i delikatnie pogłaskałam najmniejszego z nich. Szczeniak natychmiast przytulił się do mojej dłoni, głodny zarówno pieścizot, jak i samego kontaktu z człowiekiem. Spojrzałam w ciemne psie ślepka i pomyślałam o moim Torze, znajdującym się setki kilometrów ode mnie. On posiadał opiekę, kochający dom i zawsze pełną miskę. Te psy zaś nie miały żadnej z tych rzeczy. Od pierwszych dni życia były zdane tylko na siebie! Leżały na plaży, być może nawet bez szans na świeżą, chłodną wodę pitną.

Czując ogromną niemoc, poderwałam się na równe nogi i odeszłam od małego psiaka, chociaż jego czule spoglądające oczy prosiły o odrobinę pieścizot i uczucia, którego na co dzień nie mógł doznać. Zostawiłam go, chociaż zaszczekał słabym głosem, kiedy wkroczyłam na pierwszy schodek. Próbował mnie zawrócić, ale byłam już zbyt daleko. Czując piekące łzy, gromadzące się pod powiekami, ruszyłam w kierunku małego, całodobowego sklepiku na końcu ulicy, który zauważyłam wcześniej w drodze z hotelu. Zapomniałam o planach na dzisiejszy dzień i umówionej wizycie w salonie masażu. Zyskałam nowy cel – musiałam i chciałam podarować tym trzem psom chociażby mały fragment siebie.

Z torbą wypełnioną psią karmą i butelkami z wodą, wróciłam na plażę w przeciągu dwudziestu minut. Siedząc na chłodnym jeszcze piasku, zerkalam jak zachłannie jedzą podane im pożywienie, opróżniając małe, plastikowe miseczki. Patrząc jak walczą o każdy kęs, rozumiałam, iż podanie im osobnych porcji było najlepszym rozwiązaniem. Dzięki temu szczeniak miał szansę zjeść całą przewidzianą dla niego rację. Woda podana im w kolejnych plastikowych, jednorazowych miseczkach również wzbudziła ich ogromny entuzjazm. Patrząc na ich głód, miałam ochotę zaszerwować im dokładkę i po prostu patrzeć, jak do oporu napełniają swoje brzuszki, jednak nadmiar jedzenia po okresie głodowania skończyłby się dla nich chorobą. W końcu we wszystkim trzeba zachować umiar!

Kiedy poranna uczta została zakończona, wszystkie trzy psiaki podeszły do mnie i popiskując cichutko, zaczęły domagać się odrobiny uwagi i czułości. Najmniejszy z nich położył się u mych stóp, próbując się w nie wtulić. Doświadczone przez los stworzenia skradły mi serce. I chociaż nie bardzo wiedziałam, w jaki sposób mogłabym im pomóc, postanowiłam znaleźć jakieś rozwiązanie. Owszem, mogłam je dokarmiać przez te kilka dni, które zamierzałam spędzić w Pattaya, ale w moim odczuciu było to zdecydowanie zbyt mało.

Głaszcząc trójkę pieszczołów, które niezmordowanie przepychały się między sobą, nawet nie zauważyłam, kiedy plaża zaczęła zapełniać się ludźmi spragnionymi słońca i ciepłego morza. Było mi trochę za nich wstyd, bowiem mijali nas, jakbyśmy byli niewidzialni. Ignorowali bezbronne istoty, które wymagały ludzkiej pomocy. Chciałam zostać z nimi jak najdłużej, ale poczułam mdłości i zawroty głowy, przypominające zbyt długim okresie postu. Z łamiącym się sercem, opuściłam moje psiaki, obiecując im wrócić wieczorem z nową porcją jedzenia i czułości.

Każdy, kto kiedykolwiek miał psa i poznał co znaczy oddanie i wierność małej lub większej puchowej kulki, zrozumie jak ciężkie było to dla mnie doświadczenie. Czułam niemoc, nie potrafiąc pomóc ufny czworonogom.

Emocje związane ze zdradą Håkana, rozpadem małżeństwa i nieznajomością jutra, uśpione na moment w czasie podróży, zmieszały się ze wzruszeniem wywołanym przez niezwykle poranek.

Dostrzegłam pewną ironię losu, która obnażyła przede mną moją własną sytuację. Wśród bezdomnych psów, tęskniących za ludzką serdecznością, rozumiałam, iż i ja po części jestem właśnie taką zagubioną istotą... Bez własnego domu, kogoś bliskiego... Nie wiedziałam nawet, co począć ze sobą po zakończeniu wyjazdu do Tajlandii.

Czy żałowałam, że porzuciłam podszyte fikcją idealne małżeństwo? Czy cofnęłabym czas? Nie! Ani wtedy, ani teraz, nie uznaję swoich zdecydowanych kroków za błąd! Nie mniej jednak musiałam wreszcie zacząć myśleć również o przyszłości.



Jedno było dla mnie pewne. Nie chciałam wracać do Szwecji. I to pomimo wszystkich możliwości, jakie daje ten kraj ludziom chętnym do pracy. Doznałam tam zbyt wielu zawodów, wyplakałam zbyt wiele łez, by móc spokojnie chodzić ulicami pełnymi wspomnień z przeszłości.

Z relacji znajomych, ale też wiadomości z pierwszych stron internetowych magazynów informacyjnych wiedziałam, że sytuacja na rynku pracy w Polsce nie przedstawiała się zbyt różowo. Aby jakoś przeżyć musiałabym mieszkać kątem u mamy i żerować na jej głodowej emeryturze.

Anglia i niemal owiany legendami zmywak? Nie, to z góry odrzucałam. Chociaż, gdybym odkurzyła zalegający w szufladzie dyplom z ekonomii oraz kilka certyfikatów językowych, być może znalazłabym coś bardziej odpowiedniego.

Zbyt dużo niewiadomych i za wiele pytań. Przymknęłam oczy, próbując opanować natłok myśli. To dało mi do myślenia. Pierwszą rzeczą, jaką powinnam zrobić, to nabrać nieco dystansu do świata i swojego życia. Jedynym rozwiązaniem zdawało się być wyciszenie umęczonego umysłu i słowo daję, nie miałam ochoty na tak modne obecnie kolorowanki dla dorosłych. Musiałam oderwać się od wszystkich myśli zalewających mój umysł, ale nie potrzebowałam do tego zestawu kolorowych kredek!

## Rozdział XII

Dokąd udaje się znaczna część ludzkości w poszukiwaniu odpowiedzi na pytania natury egzystencjalnej? Oczywiście do kościoła! Przecież zwykle w kryzysowych sytuacjach zwracamy się w kierunku religii. Ja tamtego dnia trafiłam jednak do świątyni zupełnie innego wyznania, w dodatku położonej na obrzeżach miasta, z dala od turystycznego tłumu. Dlaczego wybrałam akurat tamto miejsce? Zachęciła mnie jego nazwa! „Sanktuarium Prawdy”. Właśnie tego szukałam! Prawdy w najczystszej jej postaci! Musiałam ją odnaleźć, by wskazała mi drogę, którą powinnam podążać!

Nie wiem, kto wybierał miejsce na wzniesienie tej zacnej konstrukcji, ale lepszego nie mógł znaleźć! Usytuowana nad samym morzem, odseparowana od reszty lądu niewielkim kanałem, chociaż chyba właściwszym terminem, jaki przychodził mi do głowy, była fosa. Dumnie wznosząc się ku niebu, sięgała chmur, w których narodził się zapewne pomysł na nią samą.

Niezaprzeczalnie istnieją na świecie miejsca przepelnione duchowością, która potrafi przemówić do człowieka, niezależnie od wyznawanej przez niego religii. Część z tych zakątków potrafi skłonić do refleksji nawet ateistów! Po dziś dzień w moim odczuciu ów zakątek zdecydowanie jest jednym z nich!

„Sanktuarium Prawdy” od pierwszego dnia istnienia stało się miejscem uniwersalnym, terenem spotkania kultur i wiary, ale też gigantycznych rozmiarów dziełem sztuki, którego kreacja trwa nadal! Można je porównać jedynie z jednym, podobnie wyjątkowym miejscem na świecie – Katedrą La Sagrada Familia w Barcelonie. Obie te budowle, chociaż jeszcze nie ukończone, mają zdolność dotknięcia ludzkiej duszy poprzez wizję, którą reprezentują.

Chociaż zdecydowanie świątynia na obrzeżach Pattaya przybiera ogromne rozmiary, to całość konstrukcji nie przytłacza, a wręcz zachwyca lekkością i po części intryguje. Przemawia do odwiedzających nie poprzez bogactwo marmurów czy złocień, ale poprzez prostotę użytego do jej budowy drewna! Każdy jej milimetr opowiada o wierze, miłości, sprawiedliwości i wszystkich najwyższych wartościach. Nie czyni tego za sprawą moralizatorskich kazań, a poprzez tysiące wykonanych ludzką dłonią figur. Wprawne oko wypatrzy tam przedstawienia bóstw hinduskich, postacie związane z ruchem Konfucjanizmu zrodzonym na terenie Państwa Środka, ale też symbole buddaistyczne, a wszystko to wzniesione na planie chrześcijańskiego krzyża!

Siedząc wewnątrz świątyni na jednej z ławeczek, ustawionych z myślą o ludziach chcących na chwilę przystanąć i pogrążyć się w zadumie, zapatrzyłam się na rzeźbę przedstawiającą boginię matkę. Symbol uniwersalny, występujący we wszystkich niemal wierzeniach świata, jeśli tylko dobrze się im przyjrzeć.

Odwołujący się do elementarnych ludzkich potrzeb, takich jak opieka, ciepłe uczucia względem drugiego człowieka czy dom przepelniony miłością. Spoglądając na jej uśmiechniętą twarz, oczami wyobraźni widziałam dzieła renesansowych mistrzów ukazujących litościwe oblicze Matki Boskiej. Odmawiając w myślach nieskładną modlitwę, wyszeptałam na koniec cichutko:

– Proszę, wskaż mi właściwą drogę, którą powinnam podążać...

Być może dopowiedziałabym jeszcze kilka słów do tej osobistej rozmowy z Bogiem, gdyby nie fakt, iż moja samotnia wypełniła się kilkuletnimi dziećmi, nad którymi bezskutecznie próbowało zapanować kilku dorosłych opiekunów.

Śmiechy, szepty, krótkie upomnienia i żarliwe przeprosiny skierowane przez małe istotki względem starszych, jak i ich samych wyrażających skruchę przed turystami. W ułamku sekundy to niezwykle miejsce ożyło i przez moment wydawało się, iż część z tych głosów dobiegała od strony płaskorzeźb zdobiących otaczające nas ściany. Trudno mi opisać wrażenia, jakich wtedy doznałam, bowiem wydarzenia tamtego popołudnia jawią mi się jako nierealny sen, w którym dosłownie wszystko jest możliwe.

Zdrowy rozsądek podpowiadał mi, że powinnam wstać z ławeczki i odejść. Pozwolić nauczycielom w spokoju wytłumaczyć uczniom cokolwiek mieli im do powiedzenia. Jednak siedziałam tam jak zaklęta, obserwując grupkę dzieciaków zasłuchanych w głos starszego, niskiego mężczyzny.

Nie rozumiałam słów, ale mogłam dostrzec reakcje na twarzach młodego pokolenia. I wtedy właśnie ją zobaczyłam. Miała siedem, może osiem lat, nie więcej. Jej długie, ciemne jak noc włosy ktoś upiął, zapewne o poranku, w ciasny warkocz, jednak część splotów zdążyła się już poluzować, dlatego ich zniecierpliwiona właścicielka odgarniała je co chwilę z alabastrowo białej twarzy. Nie byłam pewna, ale wewnętrzne przekonanie podpowiadało mi, iż tak jasna karnacja w tej części świata była czymś wyjątkowym. Jednak to jej oczy wprawiły mnie w absolutny zachwyty! Były ogromne, a ich niezwykle błękitne tęczęwki kontrastowały z czernią rzęs odznaczających się od śnieżnobiałej twarzyczki.

Momentalnie stała się dla mnie „królewną Śnieżką”. Nawet najlepszy artysta zatrudniony na potrzeby Hollywood nie stworzyłby wspanialszej wizualizacji bohaterki bajki opowiedanej przez całe pokolenia matek. Gdyby kiedykolwiek ktoś chciał nakręcić nową wersję filmu dotyczącego przygód akurat tej bohaterki, to z miejsca powinien zaangażować tę małą, tajską dziewczynkę, bowiem była ona chodzącym uosobieniem wszystkich cech podarowanych królewnie przez braci Grimm.

Dopiero po dłuższej chwili dotarło do mnie, co robię. Po prostu wgapiam się jak obłąkana w zupełnie obce dziecko! Coś takiego z pewnością nie mogło zostać odczytane przez postronnych świadków jako niewinna obserwacja. Muszę przyznać, że na miejscu opiekunów zwróciłabym samej sobie uwagę!

Chcąc uniknąć niepotrzebnych problemów oraz nieskładnych tłumaczeń, odwróciłam głowę i zapatrzyłam się w morze rozpościerające się przed moimi oczami. Było spokojne. Tylko gdzieniegdzie marszczyło się drobnymi falami, igrając z promieniami słońca. Byłam w raju, chociaż jak okazało się w ciągu kilkudziesięciu ostatnich godzin, nawet raj nie jest w pełni doskonały. Za zdjęciami z kolorowych katalogów kryła się bowiem bieda, prostytutka i cała masa niekochanych, bezpańskich psów. Ktoś, kiedyś powiedział, iż wszędzie dobrze, gdzie nas nie ma i chyba miał rację! Chciałam uciec od swoich kłopotów, a odkryłam, że cała masa ludzi ma ich w swoim życiu znacznie więcej.

Zabrzmiało nieco filozoficznie? Cóż, w tamtym okresie mojego życia faktycznie dużo rozmyślałam i drogą dedukcji dochodziłam do prawd, które każdy z nas powinien mieć zdeponowane na dnie swego serca, nigdy o nich nie zapominając. Pamiętam dojmujące doznanie, które nagle mną zawładnęło. Miałam ochotę wstać i coś zrobić. Pomóc komuś lub przynajmniej ulżyć w cierpieniu. Jednak nie miałam pomysłu, jak mogłabym tego dokonać. Byłam w stanie tylko przez kilka najbliższych dni wesprzeć moje psiaki z plaży.

Poderwałam się z ławki, chcąc oddalić się z zatłoczonego miejsca, by z dala od grupy roześmianych dzieci zastanowić się, co powinnam zrobić. To był mój szósty dzień podróży. W perspektywie miałam ich jeszcze dwadzieścia trzy i trzeba było je jakoś sensownie zagospodarować.

Zrobiłam krok lub dwa, gdy mała „Królewna Śnieżka” niespodziewanie podeszła do mnie i chwytając moją dłoń, wyszeptała łamaną angielszczyzną:

– Ty śliczna! Mogę dotykać twoje włosy? – zapytała, uśmiechając się przy tym rozbrajająco.

Odruchowo spojrzałam na swoją blond czuprynę i zorientowałam się, iż jej kolor dla małej Azjatki może być zaskakujący.

– Jasne – odpowiedziałam, przykucając tylko po to, by się z nią zrównać.

Po chwili mała dłoń najpierw delikatnie, a potem bardziej zdecydowanie dotknęła mojej głowy. Kiedy już przyzwyczała się do miękkich pukli, zaczęła się nimi bawić, podziwiając niezwykle kolor.

– To twoje? Czy ty malować? – usłyszałam po chwili.

– Moje – odpowiedziałam zgodnie z prawdą, czym wywołałam nieskrywany zachwyt w jej oczach.

– Ja też chcę takie! – mruknęła „królewna Śnieżka”, składając swoje małe usteczka w tak zwaną podkówkę.

Z jakiegoś powodu te słowa wydały mi się niewłaściwe w ustach dziecka, które nie powinno jeszcze myśleć o wyglądzie zewnętrznym. Dlatego ujęłam delikatnie jej małą ramię i patrząc prosto w oczy, a jednocześnie próbując jednocześnie powstrzymać łzy wzruszenia, wyszeptałam:

– Jesteś śliczna taka, jaka jesteś!

Nie byłam pewna, czy mała zrozumiała, co miałam na myśli, ale po chwili rozwiąła moje wątpliwości, uśmiechając się na powrót promiennie.

Dłuższa rozmowa nie była nam dana, bowiem podszedł do nas jeden z opiekunów grupy. Ten sam, który jeszcze kilka chwil temu opowiadał o czymś swoim uczniom.

– Przepraszam panią bardzo – rzekł, kłaniając się lekko na znak szacunku. – Saranya lubi rozmawiać z ludźmi po angielsku.

– Nie ma najmniejszego problemu – zapewniłam natychmiast. – Ta mała dziewczynka jest absolutnie niezwykłą istotą...

Zanim starszy mężczyzna zdążył otworzyć usta i odnieść się w jakikolwiek sposób do mojej wypowiedzi, „królewna Śnieżka” na powrót włączyła się do rozmowy.

– Będiesz naszą nową nauczycielką?

Nauczyciel stojący między nami zareagował natychmiast. Przywołał jednego z pozostałych opiekunów i przekazał mu dziewczynkę, dodając kilka słów po tajsku. Następnie popatrzył na mnie, a w jego oczach można było dostrzec zmartwienie, którego źródła nie znałam.

– Przepraszam panią raz jeszcze za moją podopieczną...

– Nie ma za co – zaproponowałam natychmiast. – Jednak nie rozumiem, dlaczego akurat we mnie to dziecko dopatrywało się nowej nauczycielki – dodałam pchnięta ciekawością.

– Od czasu do czasu przyjeżdżają do nas wolontariusze, którzy uczą dzieci angielskiego, a także innych przedmiotów – wyjaśnił. – Rok temu przez dwa miesiące gościliśmy młodą kobietę z Holandii, podobną do pani. Obiecała wrócić, ale nigdy tego nie uczyniła. Saranya czeka, chociaż jako małe dziecko zapomniała już, na kogo. Pamięta jedynie blond włosy i szeroki uśmiech tamtej dziewczyny.

Poczułam złość na nieznaną mi Europejkę. Po co ktoś obiecywał małej dziewczynce powrót, skoro nie zamierzał dotrzymać słowa? Ludzie zbyt często zawodzą bliźnich, składając puste obietnice tylko po to, by manipulować nimi zgodnie z własnymi potrzebami. Dziś, z perspektywy czasu wolę sądzić, iż po prostu dawną nauczycielkę zatrzymały jakieś pilne sprawy...

– Rozumiem – mruknęłam smutno. – Może jednak jeszcze wróci – dodałam, nie bardzo wiedząc, co powinnam odpowiedzieć na jego szczere słowa, gdy nagle przyszedł mi do głowy pewien pomysł. – Gdzie można znaleźć państwa szkołę, jeśli chciałabym polecić ją znajomym jako miejsce wolontariatu? – I mówiłam to zupełnie szczerze.

Zaskoczony moim pytaniem, mężczyzna wręczył mi niewielką wizytówkę, schowaną dotychczas w kieszonce koszuli. Rozmawialiśmy o potrzebach ośrodka dla najmłodszych przez kilka kolejnych minut, aż w końcu przyszła pora się pożegnać. Jego podopieczni czekali na kontynuację wycieczki.

– Do widzenia – szepnęłam, kłaniając się lekko na odchodne, a nauczyciel odpowiedział mi tym samym.

Odwróciłam się, by schodami prowadzącymi na zewnątrz świątyni uciec przed ewentualnym ponownym spotkaniem z grupą, gdy nagle „królowna Śnieżka” ponownie do mnie podbiegła i chwytając moją dłoń, cichutko wyszeptwała:

– Ja czekać! Ty pamiętać, prawda?

Miałam świadomość, nie powinnam kłamać, spoglądając na tą drobną, bezbronną istotkę. Nie mogłam też złamać jej malutkiego serduszka, dlatego w końcu, łamiącym się głosem, odpowiedziałam jedno, krótkie „TAK”.

Twarzyczka dziewczynki rozjaśniła się szerokim uśmiechem, a ona sama niemal podskoczyła z radości i ruszyła w stronę reszty rówieśników. Już prawie zniknęła mi w tłumie, gdy nagle dostrzegłam, iż odwróciła się w moją stronę i machając dłonią, krzyknęła:

– Do zobaczenia!

Poczucie winy ścisnęło moje gardło, wywołując tym samym łzy, które natychmiast spłynęły po rozgrzanych policzkach. Nigdy żadna mała kruszyna nie pojawiła się w moim życiu. Być może stało się to za sprawą świadomości, iż odchodząc od męża pozbawiłam się szansy na posiadanie osoby, którą mogłabym kochać miłością bezwarunkową. Istniałam samotnie na tym świecie, niczym przysłowiowy palec.

Straciłam przyjemność płynącą z odkrywania nowego dla mnie miejsca. Miałam ochotę uciec jak najdalej od „Sanktuarium Prawdy”, które uświadomiło mi tak wiele rzeczy. Nie chciałam oglądać jego zdobionych wnętrz i misternie rzeźbionych fasad. Pragnęłam zapomnieć o bólu, jaki tam w sobie odkryłam. Chciałam zamazać wspomnienie małej dziewczynki, która na kilka ulotnych chwil zagościła w moim życiu.

Kiedy tylko dotknęłam stopami ziemi, przyśpieszyłam kroku, idąc coraz szybciej i szybciej. W końcu zaczęłam biec ile sił w nogach i oddechu w piersiach. Nie spoglądając za siebie, minęłam białą, masywną bramę i znalazłam się na ulicy. Ignorując nawoływania kierowców Tuk–Tuków, szłam nieznaną sobie drogą. Uciekałam od tego miejsca i myśli, które mnie tam nawiedziły.

## Rozdział XIII

Idąc główną arterią miasta, mijając sklepiki i kawiarenki, próbowałam wyrównać wciąż nerwowy oddech. Nagle usłyszałam dzwonek telefonu. Przez dłuższą chwilę nie zareagowałam, zupełnie nie rozpoznając melodii ustawionej kilka dni temu w mojej komórce. Zresztą nie spodziewałam się żadnej rozmowy. Dla świętego spokoju wydobylałam aparat z dna plecaka i ujrzałam jedno słowo wyświetlające się na ekranie – ÄLSKLING – szwedzki odpowiednik słowa „kochanie”.

Nie potrafię zapomnieć, ile myśli i scenariuszy przetoczyło się wtedy przez moją głowę, zaledwie w przeciągu jednej sekundy. Wstyd się przyznać, ale wśród nich pojawiła się nawet wątpliwa nadzieja na szczęśliwe zakończenie... Chociaż faktycznie wszystko skończyło się dobrze, tylko w zupełnie nieoczekiwany dla mnie sposób, ale o tym cicho sza, nie powinnam uprzedzać faktów i zdradzać zakończenia tej historii.

Wracając do tamtej chwili – koniec końców przesunęłam palcem nad zieloną słuchawką migającą do mnie z ekranu smartfona. Wzięłam głęboki wdech i przygotowałam się na kolejną rozmowę z Håkanem.

– Elisabeth? – usłyszałam w słuchawce.

– Nie! – zaprotestowałam natychmiast. – Elżbieta! Elżbie-ta! Po przeszło dwóch latach małżeństwa powinienes poprawnie wymawiać moje imię – burknęłam, wyładowując na nim wszystkie emocje, które się we mnie skumulowały.

Niemal natychmiast usłyszałam jego ciężkie, naznaczone zmęczeniem westchnienie. Od zawsze miał problem z wypowiedzeniem chociażby kilku słów po polsku.

– Eszbieta – wymamrotał po chwili. – Czy teraz możemy porozmawiać jak cywilizowani ludzie?

– Jasne, czemu nie? – odparłam, wstępując do kawiarenki, która sama pojawiła się na mojej drodze. – To ty płacisz rachunek za to połączenie – mruknęłam, przypominając mu w ten sposób nieco złośliwie, iż właśnie traci swoje ukochane pieniądze.

Lawirując między stolikami, zajęłam miejsce przy jednym z nich i na migi pokazałam kelnerce, że chciałabym przejrzeć menu. Dziewczyna uśmiechnęła się w odpowiedzi, po czym zniknęła we wnętrzu budynku, a ja rozsiadłam się wygodnie w jednym z ratanowych foteli. Tych kilka krótkich sekund ciszy, która zapanowała w telefonie, wykorzystałam, by przygotować się na kolejną rundę zapasów słownych z moim „jeszcze mężem”, jak wtedy go zwałam.

– Jesteś w Tajlandii – oznajmił, jakby odkrycie tego wymagało nadludzkich

umiejętności – Powiedz tylko w jakim mieście, a zaraz zarezerwuję ci przyzwoity pokój – dodał ugodowym tonem, a ja automatycznie pomyślałam o obskurnym hoteliku i „cycatym facecie”. – Wiem, że nie masz zbyt wiele pieniędzy, a nie chcę, byś nocowała w jakimś podejrzanym miejscu...

„Gdybyś tylko wiedział” – pomyślałam, uśmiechając się pod nosem, podczas gdy Håkan kontynuował swoją przemowę:

– Zdaję sobie sprawę, jak wyglądają tam tanie noclegi... Kolega wspominał o hotelach na godziny i podejrzanym typach...

Wystarczy!

– Nie musisz się o mnie martwić. Mam ogromną łazienkę, jeszcze większą sypialnię, a z pokoju wychodzę wprost na przestronny basen wśród zieleni – uspokoiłam go, chcąc jednocześnie udowodnić mu, iż mogę sobie świetnie radzić bez jego pieniędzy i pomocy.

Odpowiedziała mi cisza dłuższa, niż się spodziewałam. Cóż, niewątpliwie nie spodziewał się takiej odpowiedzi. Na chwilę oderwałam myśli od tej niezwyklej konwersacji, by odebrać z rąk pracownicy kawiarenki niewielką, elegancką kartę dań i napojów, za którą podziękowałam skinieniem głowy.

– Skoro tak mówisz – rzucił w końcu, nie do końca przekonany tonem – nie będę cię naciskał. Odpocznij, zrelaksuj się i wracaj! Z biegiem czasu coraz trudniej będzie mi wytłumaczyć twoją przedłużającą się nieobecność.

Omam nie wybuchnęłam śmiechem! Musiałam przygryźć wewnętrzną stronę policzków, by nie zachichotać prosto w głośnik telefonu. Pozory – tylko to się dla niego liczyło.

– Wracać? A do czego? Czyżby droga Malin odmówiła prania twoich skarpetek i prasowania wymagających dopieszczenia koszul? A może jako kobieta sukcesu nie potrafi z dnia na dzień wyczarować domowej kolacji na dwadzieścia osób? – wymieniałam kolejne rzeczy, których ode mnie zawsze wymagał.

Po dziś dzień jestem pewna, trafiłam wtedy w sedno sprawy! Milczenie po drugiej stronie niewidzialnego kabla telefonicznego było bardziej niż wymowne!

– Malin to już przeszłość – wyznał. – Kiedy dowiedziała się o twoim odejściu, zerwała naszą znajomość – dodał nieco zmieszany tonem.

– Czyżbyś stracił w jej oczach na atrakcyjności? – zakpiłam. – A może nie miała ochoty wejść w moje buty tylko po to, by przejąć obowiązki żony?

Prawdopodobnie doszła do wniosku, że nie warto kupować całej krowy, by od czasu do czasu spić odrobinę śmietanki – dodałam w myślach, ale nie miałam odwagi wypowiedzieć tych słów na głos.

Młoda kelnerka zjawiała się ponownie przy moim stoliku, dlatego też, nieco na chybił trafił, wskazałam pierwszą lepszą pozycję z kaw na zimno, mając nadzieję, że będę w stanie przełknąć ją przez ściśnięte z nerwów gardło.

– Prawdopodobnie obydwie te powody – mruknął niechętnie, odsłaniając



swoje karty. – Jak widzisz, potrzebuję cię! – wyszeptał, próbując grać na moim wrodzonym poczuciu obowiązku.

„Nie ze mną te numery, Bruner” – pomyślałam, przywołując w pamięci stary polski serial.

– Wydaje mi się, czy mamy tu do czynienia z klasycznym konfliktem interesów – spytałam, prawdopodobnie zaskakując go tonem wypowiedzi – ja właśnie odkryłam, iż wcale nie potrzebuję cię w swoim życiu!

– Nie wiem, kto namieszał ci w głowie, ale przypominam ci: nie poradzisz sobie beze mnie – zaczął dużo bardziej agresywnym tonem, prawdopodobnie próbując mnie zastraszyć. – Nie znasz szwedzkiego na tyle, by podjąć jakąś dobrze płatną pracę. W Polsce nadal panuje duże bezrobocie, a ty masz prawie trzyletnią przerwę w życiorysie. Co zrobisz? Pojedziesz zbierać kwiaty w Holandii czy zmywać gary w Londynie? – zakpił.

Co mu odpowiedziałam na tak jawną prowokację? Nic! Absolutnie nic! Z uśmiechem na ustach, bez słowa zbędnego komentarza, zakończyłam połączenie. I patrząc na skrawek błękitnego nieba widocznego zza kawiarnianego parasola przeciwsłonecznego, w którego cieniu się skryłam, wyszeptałam:

– Dziękuję!

Pewnie dla postronnego obserwatora moje zachowanie mogło wydawać się nieco ekscentryczne, jednak poczułam pewnego rodzaju ulgę, dzięki której zamknęłam pewien rozdział życia. Tych kilka ostatnich zdań, wypowiedzianych przez tak naprawdę obcego mi mężczyznę, sprawiło, iż zrozumiałam pewien oczywisty fakt – Håkan nigdy mnie nie kochał! Wręcz przeciwnie, w głębi serca mną pogardzał. Do dziś uważam, że żaden, ale to naprawdę żaden mężczyzna noszący w swoim sercu miłość do żony czy partnerki, nie posunąłby się w swych komentarzach tak daleko, niezależnie od tego, jak bardzo zostałby wyprowadzony z równowagi.

Odkryłam, iż wolność może mieć przeróżne odcienie. To, co odczuwałam do tamtej chwili było piękne i świeże, ale dopiero po rozmowie telefonicznej z „jeszcze mężem” odetchnęłam pełną piersią, uświadamiając sobie, że teraz może być tylko lepiej. Poczułam, jak ktoś zdejmuje resztki niewidzialnego ciężaru zdeponowanego do tej pory na mych barkach. Przestałam zastanawiać się nad tym, co powinnam, a czego nie powinnam robić. Byłam wolna i odpowiadałam przed samą sobą! Uniosłam smukłą szklankę, którą przed chwilą przyniosła młoda kelnerka i upijając pierwszy łyk waniliowej kawy, wzniosłam toast za nowy początek. Podziękowałam za drugą szansę, którą właśnie otrzymałam od losu.

Tak! Tamtego dnia, w małej kawiarni gdzieś w Pattaya, zaczynałam od nowa całe swoje życie. Przeżyłam katharsis i niczym feniks z popiołów odrodziłam się po katastrofie, która mogła mnie zgubić. Wyzwoliłam się z zakłętą kręgą konwenansów, roli przykładowej i lekko zahukanej żony, stając się białą kartą, którą

dopiero miałam zapełnić marzeniami!

## Rozdział XIV

Wchodząc do hotelowego lobby, marzyłam jedynie o odświeżającym prysznicu, który zamierzałam wziąć przed wieczorną wyprawą na plażę. Jednak już od wejścia usłyszałam podniesione głosy rozchodzące się po całym lobby.

– Ty wapsie niczewo ne rozumajesz! – krzyczał najwyraźniej rosyjskojęzyczny turysta, trzęsąc się nad niewysoką Tajką, pracującą na popołudniowej zmianie.

Po chwili zauważyłam również managera hotelu, dzięki któremu znalazłam tam pokój. Cierpliwie coś tłumaczył, prawdopodobnie po angielsku, jednak nie uzyskał oczekiwanej odpowiedzi.

– Dusz ne rabotajet! – krzyczał mężczyzna, najwyraźniej oczekując, iż obsługa ośrodka powinna posługiwać się językiem rosyjskim.

Zawahałam się na jeden, krótki moment, po czym podeszłam do małego zbiegowiska ludzi, nie zastanawiając się nad konsekwencjami.

– Czy mogę wiedzieć, co się stało i dlaczego zakłóca pan spokój tego hotelu? – odezwałam się po rosyjsku, zaskakując tym samym nie tylko awanturującego się turystę, ale też obsługę.

– No nareszcie! Wreszcie ktoś, za kogo pensję płacę, a kto potrafi mi pomóc! Prysznic w tym burdelu, zwanym moim pokojem, nie działa – wyrzeszczał mi prosto w twarz.

Cóż, zyskałam nauczkę za wtrącanie się w nie swoje sprawy, ale przecież nie mogłam się wycofać i stracić twarz!

– Nie, nie płaci pan mojej pensji – uświadomiłam go szybko. – Jestem tu gościem i jedynie z grzeczności chciałam pomóc, skoro nie potrafi pan ściszym tonem prowadzić po angielsku prostej konwersacji z recepcją.

Mężczyzna zdębiał, prawdopodobnie nie oczekując, że ktoś może mu wytknąć braki w wykształceniu i wychowaniu na rajskich wakacjach w Tajlandii. Wykorzystałam ten moment zaskoczenia i zwróciłam się do dziewczyny stojącej za konturem.

– Nie wiem, co prawda, w którym pokoju mieszka państwa gość, ale ma problemy z niedziałającym prysznicem.

– Dziękuję za tłumaczenie, madam – szepnęła z wdzięcznością recepcjonistka. – Zaraz się tym zajmujemy.

Uśmiechnęłam się do niej, chcąc dodać otuchy, po czym ponownie spojrzałam na poczerwieniałego ze złości mężczyznę.

– Zaraz usuną usterkę, a na przyszłość proszę się nie awanturować! Nie tylko pan zapłacił za wakacje i chce je spędzić w miłej atmosferze.

Nie, nie spodziewałam się odpowiedzi, dlatego po prostu ruszyłam przed

siebie, pragnąc jak najszybciej dotrzeć do swego pokoju. Plecak zwisający z ramienia nagle stał się ciężki, a stopy zbyt ociężałe. Chyba za długo przebywałam na słońcu i organizm w końcu się zbuntował.

– Przepraszam – usłyszałam za sobą cichy, męski głos, który wydał mi się znajomy. – Chciałem serdecznie podziękować za pomoc.

Odwróciłam się lekko i spojrzałam prosto w ciemne oczy managera, który wypowiadając ostatnie słowa, skłonił się lekko.

– Nie ma za co – odpowiedziałam, mając nadzieję, iż ta grzecznościowa rozmowa szybko dobiegnie końca.

– Uratowała pani twarz hotelu. Z reguły takie awantury kończą się wezwaniem przedstawiciela biura podróży, a niekiedy i policji – wytłumaczył szybko.

– Jeśli będą mieli państwo jakieś problemy z rosyjsko–języcznymi gośćmi w czasie mojego pobytu, to chętnie pomogę – obiecałam nie wiedząc czemu.

– To bardzo wielkoduszne z pani strony – zauważył. – Dochodzi siedemnasta, zgodzi się pani przyjąć zaproszenie na kawę i coś słodkiego? – zapytał, a widząc moją niepewną minę, dodał. – W ramach podziękowania za pomoc, oczywiście!

„Powinnaś zacząć wychodzić do ludzi” – poradził wtedy wewnętrzny głos.

– Z miłą chęcią – odparłam, siląc się na uśmiech.

Siedliśmy przy jednym ze stolików na tarasie i przy ciasteczkach rozmawialiśmy o kulisach branży turystycznej, a także prowadzenia biznesu w Tajlandii. Jak się okazało, mój rozmówca, podobnie zresztą jak właściciel hotelu, pochodził z Indii i tylko interesy sprowadziły ich do tego zakątka świata. Spoglądając na jego ciemne oczy i złotą karnację, faktycznie dostrzegłam różnicę pomiędzy wyglądem przeciętnego Taja, a aparycją siedzącego przede mną Abhisheka.

Rozmowa stała się trudniejsza, gdy temat zahaczył o moją profesję, na temat której tak naprawdę nie potrafiłam się wypowiedzieć. W końcu postanowiłam wyznać prawdę, przecież nie było się czego wstydzić!

– Właśnie odeszłam od męża i sama nie wiem czym się zajmuję. Pewnie odkurzę dyplom z ekonomii albo poszukam zajęcia, przy którym będę mogła wykorzystać znajomość języków.

– Mówisz po angielsku, polsku... Również po rosyjsku, czy tak?

– Jestem w stanie komunikować się również po szwedzku i francusku – uzupełniłam szybko.

– Wow, poszukaj pracy w turystyce – poradził. – Tacy ludzie jak ty, to skarb!

– Oj, chyba nie potrafiłabym odnaleźć się na drugim końcu świata, w hotelowym lobby – zaśmiałam się, maskując swoją niepewność poprzez ujęcie

filizanki z kawą.

– Kilkanaście minut temu właśnie tego dokonałeś – przypomniał natychmiast Abhishek.

– To było co innego. Należę do świata liczb, finansów. Tęsknię za tym.

I faktycznie była to prawda! Wypowiedzenie tego na głos pomogło mi zrozumieć, co chcę w życiu robić. Przypomniałam sobie wszystkie godziny spędzone na symulacjach strategii rozwoju firmy, wyliczaniu metod polepszenia efektywności aktywów oraz zmniejszeniu strat poprzez redukcję kosztów własnych. Tak! Tęskniłam za ekonomią!

Z niemalym zdumieniem pojęłam, że modlitwa odmówiona w „Sanktuarium Prawdy” została po części spełniona. Odnalazłam zagubioną drogę, którą powinnam podążać. To śmieszne, że los i przypadkowa rozmowa mogą nakierować nas na właściwe tory, których z wysiłkiem poszukiwaliśmy, próbując ustalić własną przyszłość.

## Rozdział XV

Późnym popołudniem, chociaż raczej powinnam powiedzieć wieczorem, kiedy słońce powoli chyliło się ku zachodowi, ruszyłam w kierunku plaży, zastanawiając się czy spotkam tam trzy psiaki, które skradły mi serce o poranku. Niosłam dla nich nową porcję jedzenia, świeżej wody i pieszczot, którymi chciałam je obdarzyć.

Pamiętam, iż schodząc schodami w dół próbowałam je dostrzec, ale żaden z nich nie znalazł się w zasięgu mojego wzroku. Już prawie miałam zawrócić, nie mając ochoty spędzać samotnego wieczoru na obserwacji zachodu słońca. Przystanąłam na przedostatnim stopniu, wahając się czy powinnam wejść na plażę, gdy pod drzewem, między niskimi konarami, dojrzałam najmniejszego ze znanych mi czworonogów. Przyglądał mi się niepewnie, zastanawiając się czy go pamiętam.

Podeszłam do niego i wyjęłam z plecaka plastikową miseczkę, którą szybko napełniłam karmą. Szczeniaczek podszedł o kilka kroków bliżej, a tuż za nim pojawiły się dwa pozostałe psy, skryte do tej pory w zaroślach. Zaserwowałam im kolację i odeszłam na bok, gdy tylko przygotowałam dla nich również świeżą, chłodną wodą. Cierpliwie czekałam, aż w spokoju skończą swoją wieczorną ucztę. Przysiadłam na nagrzanym słońcem piasku i patrząc na te bezpańskie istoty, myślałam o moim Torze. Pewnie gdyby był ze mną, zaprzyjaźniłby się z nimi i brykając radośnie, domagałby się zabawy, polegającej na beztroskiej gonitwie po plaży. Tak samo zachowywał się wcześniej względem swoich psich przyjaciół w Szwecji. Czy tęsknił za nimi? Na pewno tak. Czy znalazł już sobie nowych kumpli w Gdańsku? Tego nie wiedziałam, ale miałam nadzieję, że owszem.

Poczułam na dłoni mokry, chłodny nos, który lekko mnie szturchnął, chcąc wybudzić ze świata snów na jawie. To najmłodszy z psiaków skończył swój posiłek i postanowił zachęcić mnie do zabawy. Dopraszał się o odrobinę pieszczot, nadstawiając do drapania jedno z uszu. Z przyjemnością spełniłam jego niemałą prośbę. Rozradowany uczuciem, jakiego być może zaznał po raz pierwszy w swoim krótkim psim życiu, przewrócił się na grzbiet i odsłaniając brzuszek, prosił o więcej. Podrapałam go lekko, wiedząc, że psy z reguły uwielbiają tego typu pieszczoty. To wywołało lekką zazdrość pozostałych dwóch czworonogów, które do tej pory stały na uboczu, przyglądając się nam. Po chwili dołączyły, łaszac się i prosząc o podobne gesty.

Zapewne stanowiliśmy niezwykle widok. Europejka bawiąca się na plaży z bezdomnymi psami, których z reguły każdy unikał lub przepędzał ze swego najbliższego sąsiedztwa. W tamtym momencie nie miało to jednak dla mnie najmniejszego znaczenia. Ktoś naprawdę mnie potrzebował, a ja mogłam mu pomóc, chociażby przez tych kilka dni. Mogłam im dać poczucie chwilowej

normalności. Miałam szansę pokazać, że można mieć pełną miskę dwa razy dziennie i beztrąsko bawić się, nie martwiąc się o jutro. Dawaliśmy sobie wzajemnie chwilowe szczęście. Śmiałam się radośnie, na co natychmiast odpowiadały pełnymi uczucia szczęściami.

W tym wszystkim dostrzegałam jakąś niewytłumaczalną alegorię życia. Poranieni przez los, bez jutra, zaprzyjaźniliśmy się, dając sobie wzajemnie wsparcie. Tam, na pustej plaży, tuż po zmierzchu zrozumiałam, iż powinnam zwracać większą uwagę na chwilę obecną, zamiast zajmować się ciągłym myśleniem o jutrze. Jutro i tak w końcu nadejdzie, a piękne chwile, które mogłam wykorzystać, przeminą na umartwianiu się.

Trzy psiaki leżące u moich stóp nie myślały o przyszłości, ciesząc się tym, czego doświadczały w tamtym momencie. Być może to śmieszne, ale właśnie one uświadomiły mi, co tak naprawdę traciłam przez dużą część mojego życia. Przegapiłam tysiące chwil szczęścia, które bezpowrotnie minęły.

Moich małych przyjaciół zostawiłam dopiero, gdy słońce całkowicie zniknęło za horyzontem, a niebo stało się całkiem ciemne. Oczywiście spóźniłam się na kolację serwowaną w hotelowej restauracji w ogrodzie, dlatego też ruszyłam na podbój miasta. Nauczona doświadczeniami smakowymi nabytymi w Bangkoku, poszukiwałam małych, prowizorycznych straganików, zaopatrzonych w maleńkie kuchenki gazowe. To one bowiem mogły mi zagwarantować najpyszniejsze smakołyki.

Na przystawkę zafundowałam sobie gotowaną kukurydzę z masłem i solą. Do dziś ten niezbyt wyszukany frykas kojarzy mi się z wolnością, bowiem wtedy każdy kęs smakował tak świeżo. Była słodka, soczysta i tak pyszna, iż miałam wrażenie, że jem ją po raz pierwszy w życiu!

Wgryzając się w kolejne części kolby, szłam oświetloną ulicą, przyglądając się wystawom licznych sklepików oferujących wszystko od małych bibelotów po markowe rzeczy. Jeszcze nawet nie zdołałam znaleźć kosza, do którego mogłyby trafić pozostałości po wstępie do kolacji, gdy dostrzegłam tłumek oblegający stanowisko na rogu ulicy. Pracująca przy nim starsza kobieta robiła coś, na co trudno było mi znaleźć właściwe słowo. Na upartego mogłabym to określić naszymi naleśnikami. Rodzaj ciasta był jednak zupełnie inny, a nadzienie, w tamtym wypadku banany i rodzynki, były w nim zasmażane, gdy całość jeszcze surowa trafiała na klarowane masło. Gotowy przysmak zaś polewany był, od serca, słodkim, skondensowanym mlekiem.

Prawdopodobnie trudno jest wyobrazić sobie ten frykas czytając opis, składający się z zaledwie kilku suchych faktów, ale zapewniam, to coś można jeść bez końca! Już po pierwszym kęsie żałowałam, że nie zamówiłam od razu dwóch. Opanowałam jednak łakomstwo i ruszyłam przed siebie, jedząc wykałaczką pokrojone na kawałeczki ciepłe, słodkie ciasto.

Przedzierając się przez tłum turystów, maszerowałam ku centrum. Języki, które do mnie docierały, tworzyły niezrozumiałą całość. Mogłam z niej wyłowić tylko kilka znajomych słów. Właśnie chyba to sprawiało, iż w moich oczach miejsce to charakteryzowało się specyficzną melodią i rytmem, którym Pattaya tętniła do wczesnych godzin porannych.

Kiedy smak ostatniego kęsa rodzynkowego „naleśnika” prawie zniknął, a sama tacka wylądowała w śmietniku, wyrosło przede mną kolejne uliczne stoisko oblegane przez ludzi. Podskakując i zaglądnąjąc przez ramiona skupionych wokół niego Tajów, próbowałam dostrzec, co tak popularnego może proponować sprzedawca. Oniemiałam! Moim oczom bowiem ukazały się poukładane rzędami skorpiony, a w ich sąsiedztwie znajdowały się suszone karaluchy, świerszcze i inne insekty. Odruchowo przełknęłam ślinę, na wpół ze strachu, na wpół z obrzydzenia i wycofałam się, dobrowolnie rezygnując z nowych doznań. Szczerze mówiąc, obejrzana wtedy oferta gastronomiczna skutecznie powstrzymała mój apetyt na dobrych kilkadziesiąt minut.

Tłum gęstniał z każdą chwilą, dlatego miałam świadomość, że prawdopodobnie za kilkadziesiąt metrów dotrę do słynnej promenady. Faktycznie w przeciągu pięciu minut dotarłam do wielkiej bramy z napisem „Walking Street”. Tam miały mieścić się największe puby, restauracje i kluby nocne. To właśnie one, zdaniem przewodnika turystycznego, który udało mi się przekartkować, stanowiły serce całego miasta. Szybko zorientowałam się, iż większość z nich kierowało swą ofertę do męskiej części odwiedzających. Tych, którzy przybyli do Tajlandii dla przyjemności i uciech cielesnych. Ze wszystkich stron można było dostrzec piękne, roznegliżowane, młode dziewczyny, wyginające się w najbardziej śmiałych pozach, zerkając zza witryn nocnych klubów. Przez krótki moment miałam wrażenie, że to jakiś psychodeliczny sen, w którym ludzkich rozmiarów lalki próbują wydostać się ze swych cukierkowo różowych pudełek. Kobiety sprowadzono do roli towaru na sprzedaż. Poczulałam się wręcz nieswojo. Całości zaś dopełniał widok naganiaczy, zaczepiających spacerujących mężczyzn tylko po to, by pokazać im dokładny cennik usług!

Skąd to wiem? Bowiem jeden z nich zaczepił również mnie, podsuwając pod nos swoistego rodzaju „menu”.

– Masz ochotę na jedną z naszych dziewczyn? – zagaił. – Wszystkie są nieziemskie! – zapewnił szybko, widząc moją zaskoczoną minę.

Seks to biznes jak każdy inny. Rokrocznie generuje na całym świecie ogromne kwoty, chociaż nikt nie podaje dokładnych danych statystycznych. Dopiero w Tajlandii spostrzegłam, na jak ogromną skalę można napędzić promujące go działania. Nie miałabym nic przeciwko temu, gdyby to była osobista decyzja każdej z tych dziewczyn. Wszyscy w końcu jesteśmy dorośli i sami o sobie



decydujemy. Niestety dziś wiem, że wielokrotnie młode kobiety pochodzące z prowincji nie mają innego wyboru! Aby wydostać się z biedy, muszą sprzedawać swoje ciała. Tamtego wieczora nie wiedziałam jednak tego wszystkiego. Po prostu z przerażeniem zastanawiałam się, jak to się stało, że tak ogromna liczba osób decyduje się na tego typu proceder.

– Nie, dziękuję – odpowiedziałam wtedy. – Zdecydowanie wolę mężczyzn – dodałam, mając nadzieję zakończyć w ten sposób wszelkie możliwe dyskusje.

Zdażyłam odejść dwa kroki, gdy ten sam chłopak, o chytrych oczkach i lubieżnym uśmiechu, dopadł mnie jeszcze raz i chwytając za ramię, zatrzymał ponownie.

– Nie ma sprawy – zapewnił. – Znajdziemy coś dla ciebie, chodź! – szepnął, wskazując dłonią klub, dla którego prawdopodobnie pracował.

Jedno trzeba mu było przyznać: Nie poddawał się łatwo! Z drugiej strony, chociaż fucha, która przypadła mu w udziale nie należała do łatwych, to przynajmniej nie musiał łązić po rynku w cieniu różowej parasolki, jak swego czasu dziewczyny pracujące dla sieci klubów nocnych ze striptizem w Polsce.

Odmówiłam. Próbując nie okazywać zniecierpliwienia i nie zważając na jego kolejne propozycje, ruszyłam przed siebie. Jeszcze kilkakrotnie zostałam zaczepiona w czasie tamtego spaceru, dlatego bardzo szybko zdecydowałam się na powrót do hotelu. Tam przynajmniej moja równowaga psychiczna nie mogła zostać wystawiona na testy ze strony nachalnych naganiaczy.

## Rozdział XVI

Poranek spędziłam z moimi psiakami, a gdy zarówno potrzeby żołądka, jak i czułości zostały zaspokojone, położyłam się na leżaku w cieniu drzewa, by nieco odpocząć. Moi czworonożni towarzysze szybko wzięli ze mnie przykład i ulokowali się pod moim szelongiem. Spokojna o ich los, zdrzemnąłam się nieco, pozwalając ciału się zrelaksować.

Śniłam o domu, Torze, mamie. Moi podopieczni też tam byli, radośnie igrali z psiakiem, który towarzyszył mi w niemal wszystkich miesiącach mojego małżeństwa. Tak, śniłam również o Håkanie i o tym, że powinnam wreszcie wyrwać się z objęć tego toksycznego związku. W końcu miesięczny wyjazd na drugi koniec świata nie załatwi wszystkiego. Nie ureguje spraw prawnych ani nie zbuduje przyszłości, na której mogłabym się wesprzeć. Oczywiście, dużo prościej byłoby schować głowę w piasek i udawać, że to wszystko mnie nie dotyczy. Przecież do odzyskania szczęścia nie był mi potrzebny żaden papierek, mówiący: oto wreszcie uwolniłam się od związku z mężczyzną, który nigdy mnie nie kochał.

Obserwując spod lekko przymkniętych powiek fale dobijające do brzegu, przypomniałam sobie o wujku Andrzejku – adwokacie! Kiedyś prowadził sprawę rozwodową jednej z naszych kuzynek. Był na tyle sprawny w swym fachu, że już na drugiej rozprawie Łucja odzyskała wolność. Po powrocie do Polski powinnam się z nim niezwłocznie skontaktować.

Podjęcie tamtej decyzji, mimo, iż wydawała się słuszna i jedyna, nie przyszło mi z łatwością. Przecież jednym wnioskiem złożonym w sekretariacie sądu miałam przekreślić całą swoją przeszłość i uczucia, które żywiłam względem Håkana. Tak, kochałam go nawet wtedy, chociaż bardziej była to miłość do wspomnień niż osoby, którą się okazał.

Przed światem mogłam udawać twardą. Mogłam grać, udawać, że wcale mnie to nie zraniło. Jednak przyznanie się do klęski przed samą sobą okazało się niezwykle trudnym doświadczeniem, którego nie chciałabym przeżyć ponownie. Być może wynikało to z faktu, iż od małego byłam wychowywana na zwycięzcę, któremu wszystko, począwszy od zawiązania sznurowadeł w przedszkolu, po sukces w konkursie międzyszkolnym, przychodziło z łatwością. Dziś wiem, że przez to w obliczu nagłej i niespodziewanej klęski osoba nie wie, jak się zachować. Zaprzecza oczywistym przesłankom, próbując za wszelką cenę ratować swój wizerunek wygranego. Przecież ostatnie tygodnie, które spędziłam w Sztokholmie, nie były niczym innym, jak tylko wypieraniem ze świadomości faktów informujących mnie o postępującym rozpadzie mojego związku. Wolałam ich nie zauważać tylko po to, by nie widzieć jak bardzo się pomyliłam.

Kto wie czy nie trwałabym w tym kłamstwie do dzisiaj, gdyby nie niepozorny i prawdopodobnie napisany pod publikę tekst. Być może brzemie nałożone na mnie wraz z moją obrączką nadal by mi ciążyło...

Pamiętam, iż uśmiechnęłam się do swoich myśli, bo jak nie roześmiać się z ironii losu, za sprawą której artykuł na kundelku.pl zmienił moje całe życie. Podrapałam za uchem psiaka leżącego najbliżej mnie i zamarzyłam o zabranii tych trzech nieboraków ze sobą. Wiedziałam, że będzie to trudne, ale nie niewykonalne.

Oprócz tego problemu, pozostała mi jeszcze jedna, niecierpiąca zwłoki kwestia – co zrobić ze swoją przyszłością. Wzdychając ciężko, postanowiłam sprawdzić wszystkie możliwości zaraz po powrocie do domu, do mamy. Zdecydowałam, że będę się cieszyć zasłużonymi wakacjami, a o problemach pomyślę „jutro”, zupełnie jak Scarlett O’Hara!

Z plaży wywołało mnie dopiero głośnie burczenie w brzuchu, który domagał się czegoś bardziej treściwego niż owsianka o poranku. Zanim jednak skierowałam się do upatrzonej poprzedniego dnia restauracji, wstąpiłam do hotelu, by zmyć z siebie morską sól i piasek. W międzyczasie WiFi, które automatycznie aktywowało się na moim smartfonie, przyniosło mi wiadomość. Nowy email! Nadawcą był Håkan.

Co napisał? Cóż, czasami też mnie to ciekawi. Nie mniej jednak nigdy nie otworzyłam tej wiadomości. Przeleżałam przeszło trzydzieści minut, zachodząc w głowę, co może się kryć pod przewrotnym tytułem „Przeczytaj to!” Zainteresowanie walczyło we mnie z chęcią zapomnienia. Jakaś część mnie, prawdopodobnie ta racjonalna, chciała zapoznać się z treścią tego maila. Podczas gdy ta druga, zraniona, chciała puścić w niepamięć złe chwile z przeszłości. W końcu, rezygnując z bezproduktywnego gapienia się na szklany ekran telefonu, poderwałam się z łóżka i niemal jak kamień wyrzucony z katapulty opuściłam pokój hotelowy.

Ta wiadomość do dziś pozostaje przypięta na górze przychodzących emaili. Stanowi wyzwanie dla mojej silnej woli. Jak na razie zdołałam oprzeć się tej pokusie. Nie wykluczam jednak, że za dwadzieścia czy trzydzieści lat, jeśli tylko ten adres pocztowy będzie jeszcze istniał, otworzę ją i dowiem się, co takiego Håkan napisał mi tamtego dnia. Oczywiście, jeśli będzie mnie to jeszcze interesować.

Rozsiadłam się w ratanowym fotelu, pod ogromnym parasolem ochraniającym przed ostrym tajskim słońcem i zaczęłam lustrować kartę dań. Mnogość potraw i ich smakowite zdjęcia nie ułatwiały mi wyboru. Nie mogąc się na nic zdecydować, zaryzykowałam i poprosiłam o danie dnia. Pad Thai w wersji z krewetkami okazało się po prostu rewelacyjne.

Wtedy to właśnie pierwszy raz miałam okazję spróbować tej tradycyjnej

tajskiej potrawy, chociaż jej smak został tam złagodzony na potrzeby turystów. Dziś nie mogę wprost uwierzyć, jak mogłam przeżyć tyle lat swojego życia bez możliwości rozpieszczania swoich kubków smakowych tym rarytasem. Szybkie i proste w wykonaniu, zaspokoi każdy, nawet największy głód.

Rozkoszując się wyjątkowo dobrym, wytrawnym białym winem, zaczęłam przyglądać się przechodniom, skupiając całą swoją uwagę na rdzennych mieszkańcach kraju. Nie miałam okazji z żadnym porozmawiać, oczywiście nie licząc recepcjonistów w moich hotelach, dlatego też chociaż w ten sposób pragnęłam dowiedzieć się czegoś na ich temat.

Mijali mnie zapędzeni młodzi mężczyźni i piękne, zadbane kobiety, starsze damy spacerujące z pudelkami oraz babcie, które prawdopodobnie przez całe życie musiały bez przerwy walczyć o swój byt. Pierwszą rzeczą, która rzuciła mi się w oczy, były wszechobecne uśmiechnięte twarze. Doszłam do wniosku, iż mimo tego, że Tajlandia jest relatywnie biednym państwem, to z jakiegoś powodu ludzie mimo ciężkiego życia potrafią je należycie doceniać. Spoglądając na oblicza naznaczone zębem czasu i żmudnej pracy, zazdrościłam im tej wewnętrznej pogody ducha.

Sącząc ostatni łyk wina, dostrzegłam dosyć młodą, elegancką kobietę spacerującą po ulicy z małą dziewczynką. Ich podobne stroje oraz dodatki sprawiały wrażenie, jakby dziecko stanowiło mniejszą kopię dorosłej wersji. Z jednej strony stanowiło to miły dla oka widok, budzący z pewnością pozytywne odczucia w sercach przechodniów, jednak mnie coś w tej stylizacji przeszkadzało. Matka zdecydowała się dla własnej wygody stłumić indywidualne cechy małej istotki, która miała prawo do pozostania dzieckiem! Kloszowana spódniczka wykończona koronką prawdopodobnie nie była najwygodniejszym strojem, dlatego też mała elegantka kręciła się niespokojnie, próbując nadażyć za dorosłą kobietą. Kiedy w swym rozbrykaniu odwróciła się w mój kierunek, zdołałam dostrzec jej pełną, niczym księżyc w pełni, buzię. Z jej ciemnych oczu wyzierała radość i pasja życia, właściwa większości dzieci, które zdarzyło mi się kiedykolwiek spotkać.

– Oby poszczęściło ci się w przyszłości – pomyślałam, spoglądając, za dzieckiem oddalającym się coraz bardziej od restauracji, w której siedziałam.

Wtedy też, jak na zawołanie, pomyślałam o „Królewnie Śnieżce”, którą spotkałam poprzedniego dnia w pięknej, misternie zdobionej świątyni. Gdy tylko wywołałam jej twarzyczkę z zakamarków pamięci, nie mogłam jej tam zepchnąć z powrotem. W uszach cały czas rozbrzmiewał jej cichy, pełen nadziei głos:

– Ja czekać! Ty pamiętać, prawda?

Czy miałam prawo złamać serce małego dziecka? Czy powinnam udawać, że nie wiem gdzie ją znaleźć? Wizytówka wręczona mi przez starszego mężczyznę nadal spoczywała w jednej z kieszonek plecaka. Przecież mogłabym chociaż dowiedzieć się, w jaki sposób można pomóc takim dzieciakom.

Spojrzałam na zegarek – dochodziła trzecia po południu. Nie wiedziałam czy mam wystarczająco dużo czasu, ale czułam, że i tak podjęłam już decyzję. Płacąc rachunek podepchnęłam kelnerce niemal pod nos wizytówkę, pytając, gdzie znajduje się adres wypisany na kartoniku zarówno po angielsku, jak i tajsku.

Młoda dziewczyna popatrzyła na mnie nieco przestraszona, jakby miała do czynienia z nieszkodliwą wariatką, która nagle stała się niewygodna.

– Jakież trzydzieści, może trzydzieści pięć kilometrów stąd – odpowiedziała w końcu. – Ale tam nic nie ma! To nie jest miejsce dla turystów... Żadnych atrakcji, tylko kilkanaście domków lokalnych mieszkańców – dodała na koniec nieco nerwowo.

– Rozumiem. W każdym bądź razie, dziękuję – rzekłam, wręczając jej napiwek.

Nie było odwrotu. Skoro zaczęłam rozważać wycieczkę do jakiegoś małego miasteczka, którego nazwy nie potrafiłam nawet wymówić, to powinnam się tam udać. Mimo, iż nie wiedziałam nawet czego powinnam się spodziewać pośrodku tajskiej prowincji, z dala od sztucznego blichtru bogactwa wzniesionego dla turystów.

## Rozdział XVII

Opuszczając dzielnicę ładnych budynków, lśniących odmalowanymi fasadami, wypolerowanym chromem i połyskujących przestronnymi szklanymi witrynami, wjechałam w teren porośnięty zaniedbaną, dziką roślinnością. Mijałam niedokończone budowy i małe, szare budynki, różniące się diametralnie od tego, do czego przywykłam spacerując po Pattaya. Zniknęły zadbane damy, elegancyści mężczyźni i drogie samochody. Pojawiło się więcej strudzonych życiem, lekko przygarbionych kobiet, które niosąc ciężkie torby, zmierzały do domów po całym dniu pracy.

W pewnym momencie Tuk-Tuk zjechał z zatłoczonej głównej drogi i zaczął krążyć wśród skromnych, ale zadbanej domostw. Przemknęliśmy w pobliżu małego, lśniącego białego ośrodka zdrowia – nazwa została napisana na ogromnym szyldzie po angielsku, stąd mogłam być pewna jego przeznaczenia – aż w końcu zatrzymaliśmy się przed brązowym budynkiem szkoły.

Zapłaciłam za kurs i stanęłam na samym środku, nazwijmy to wiejskiej drogi, z dala od zachodniej cywilizacji czy ludzi mówiących w znanym mi języku. Przede wszystkim jednak znalazłam się na obcym kulturowo terenie i nie miałam pojęcia o podstawowych normach panujących w tym społeczeństwie.

– Co ja właściwie powiem temu nauczycielowi? – zastanawiałam się gorączkowo. – Że przechodziłam przypadkiem i postanowiłam wstąpić? Przecież to niedorzeczność! Zapytam o małą dziewczynkę imieniem Saranya? Weźmie mnie za jakąś zboczoną pedofilkę! Sama bym tak potraktowała obcą kobietę wypytującą o jakąś nieletnią.

Miałam ochotę zawrócić, złapać pierwszego lepszego Tuk-Tuka, ale zanim zdążyłam zrobić chociażby krok, spostrzegłam starszego mężczyznę wyglądającego przez jedno z okien. Prawdopodobnie zauważył moje rozterki, bowiem gestem dłoni zaprosił mnie do środka. Nie miałam wyboru, uśmiechnęłam się w odpowiedzi i ruszyłam w kierunku szkoły.

Mężczyzna skłonił się lekko na powitanie, po czym zaprosił mnie do swego gabinetu.

– To panią spotkaliśmy na wycieczce do „Sanktuarium Prawdy” – stwierdził, kiedy zajęłam miejsce w fotelu ustawionym naprzeciwko jego stanowiska pracy. – Saranya nie przestaje o pani mówić.

– Tak, to ja – przyznałam, próbując wymyślić zgrabną przemowę motywującą moje najście. – Jak ma się ten cudny aniołek? – wydukałam w końcu, próbując w ten sposób podtrzymać rozmowę.

– Moja wnuczka? Dobrze, dobrze, chociaż jesteśmy zmęczeni słuchaniem o długich blond włosach, które będzie mieć, gdy dorośnie – zaśmiał się mężczyzna. –

Czyżby miała pani jakiegoś wolontariusza dla nas? – przeszedł od razu do tematu.

– Nie miałam czasu skontaktować się z nikim w kraju, ale chciałabym dowiedzieć się na jakich zasadach w ogóle odbywa się tego typu działalność.

– Wolontariat w Azji jest dość rozwinięty i całkiem niezłe zorganizowany. Z reguły trafiają do nas młodzi ludzie, posiadający właściwe kwalifikacje. Chcąc zdobyć nie tylko doświadczenie, ale też pomóc innym, zanim rozpoczną swoją własną karierę – zaczął wyliczać.

– Czyli osoby starsze, powiedzmy po trzydziestce, już przeoczyły swoją szansę? – weszłam mu w słowo z czystej ciekawości.

– W żadnym wypadku, jednak tacy ludzie zdarzają się znacznie rzadziej. W tym wieku każdy ma już rodzinę, dzieci, zobowiązania... Kto chciałby to zostawić na kilka miesięcy i przyjechać tutaj, niemal na koniec świata? – zapytał retorycznie, wskazując jednocześnie dłonią swoje otoczenie.

– Kto wie... – mruknęłam nieco filozoficznie. – Czasami ludzie zaczynają od nowa swoje życie nawet po czterdziestce.... – dodałam dużo bardziej rzeczowo, mając na myśli moją dawną znajomą, która po wyprowadzce ostatniego ze swoich dzieci sprzedała swój dom i wyjechała do Turcji, by tam zbudować nowe życie przed nadchodzącą emeryturą.

– Dla nas wiek nie gra roli – zapewnił mężczyzna siedzący po drugiej stronie biurka. – Liczą się kwalifikacje, ale przede wszystkim chęci!

– Kwalifikacje... Skoro jesteśmy już przy tym temacie – zagaiłam. – Jakiego typu ludzi państwo szukają?

– Każdego, kto chciałby poświęcić swój czas pomocy innym. Nasze małe społeczeństwo ma wiele potrzeb, a znaczna część z nich może być w prosty sposób zaspokojona. Nauczyciele angielskiego to chyba największa grupa ludzi, która z miejsca znajduje ośrodki chętne ich przyjąć.

– A jak cała sprawa wygląda od strony prawnej? Wiza turystyczna raczej nie wchodzi w grę, bo jej ważność wygasa po trzydziestu dniach...

– Nie, nie, nie. Nie możemy mieć nauczycieli przebywających tu jako turyści. Zgodnie z wymogami rządowymi, wszyscy muszą posiadać odpowiednie certyfikaty i zostać przysłani przez organizacje pozarządowe...

– Czyli tak naprawdę, nawet jeśli znalazłabym kogoś, kto chciałby tu przyjechać, to nie znaczy to wcale, że trafi akurat do państwa? – zapytałam, tracąc nagle rezon.

– Nie do końca. – zastrzegł natychmiast, widząc mój opadający entuzjazm. – Jako placówka oświatowa możemy wystąpić o prawo pobytu dla kogoś, kto chciałby zostać u nas na dłużej niż miesiąc. Widzi pani, my naprawdę rozumiemy potrzebę edukacji naszych dzieci. Zdajemy sobie sprawę, iż nie zdołają one odnaleźć się w wielokulturowym społeczeństwie bez znajomości języków obcych czy nowych technologii.

– Faktycznie, praktycznie z roku na rok świat czyni kroki milowe...

– Nie chcemy zostawać w tyle za resztą świata, ale niestety nie stać nas na zatrudnienie odpowiednich nauczycieli, dlatego właśnie posiłkujemy się wolontariuszami.

– Wiele krajów czyni podobnie – rzekłam, chcąc zniwelować obraz biedy wyłaniający się z jego opisu. – Na co może taki ochotnik liczyć? Czy też wszystko musi opłacać we własnym zakresie? Niezależnie od wieku, są to kwestie niezwykle ważne...

– Oczywiście ma pani rację – zgodził się coraz bardziej rozentuzjasmowany całym tematem. – Z naszej strony możemy zagwarantować mały domek i trzy posiłki dziennie, serwowane przez moją żonę. Muszę nieskromnie dodać, że gotuje ona całkiem dobrze, więc nasz nauczyciel na pewno nie będzie chodził głodny...

– Brzmi ciekawie – zgodziłam się, wyobrażając sobie całe tygodnie spędzone na diecie tajskiej.

– Mam wiele pomysłów jak polepszyć jakość życia w naszym miasteczku, ale jak na razie brakuje mi możliwości ich realizacji.

– Co ma pan na myśli, jeśli można spytać?

Starszy mężczyzna i sposób jego myślenia naprawdę mnie zaskoczył. Wiedział dokładnie przed jakimi wyzwaniem staje świat i jakiego rodzaju wiedzy powinien dostarczyć swoim podopiecznym, by zagwarantować im w miarę dobry start w dorosłość. Pamiętam, iż przez jeden, krótki moment pożałowałam, że w Polsce brakuje takich entuzjastów. Dlatego też rzeczywiście chciałam poznać jego inne pomysły.

– Myśleliśmy też o jakimś ekonomście, ale to dopiero kwestia przyszłości – rzekł po chwili wahania. – Czytałem serię artykułów mówiących o miejscach, gdzie lokalne gospodynie domowe tworzyły spółdzielnie, by dorobić i wspomóc domowe budżety. Zdecydowanie chciałbym znaleźć kogoś, kto potrafiłby zachęcić kobiety z wioski do podjęcia jakiejś aktywności zawodowej. Byłby to dobry przykład dla młodych. Aktualnie zbyt wiele nastolatek ucieka do kurortów turystycznych i... – tu przerwał, zdając sobie sprawę, że rozmawia nie tylko z cudzoziemcem, ale również kobietą – no wie pani.

– Tak, domyślałam się co ma pan na myśli – odparłam wtedy, a w mojej głowie zrodził się całkiem szalony plan, który zamierzałam zrealizować.

– Cóż, myślę, że mam kogoś, kto mógłby połączyć obydwie zamierzenia przedstawione właśnie w tych kilku zdaniach.

– Raczy pani żartować? Nauczyciel angielskiego ze znajomością realiów ekonomii? Czy ktoś taki w ogóle chciałby się fatygować do Pattaya, by uczyć kilkoro dzieciaków?

– Posiadam zarówno certyfikat z języka angielskiego, uprawniający mnie do nauczania tego języka, jak i doktorat z ekonomii... – rzekłam powoli, ważąc każde



ze słów.

Mój mózg krzyczał, że to jawne szaleństwo, ale serce wiedziało, że postępuję słusznie. Nie miałam nic do stracenia, poza kilkoma miesiącami życia.

– Ile miesięcy mogłaby pani nam poświęcić? – zapytał rzeczowo, chwytając w dłoń długopis, do tej leżącej pory na notesie.

– Mogę się zobowiązać do spędzenia tu sześciu miesięcy – odpowiedziałam, rzucając liczbą bez zastanowienia.

Pół roku. Wystarczająco długo, by się zaaklimatyzować, przemyśleć wiele rzeczy i poszukać czegoś, co będę mogła robić przez resztę swego życia. Dodatkowo nie będę stanowiła dla nikogo ciężaru, a wręcz przeciwnie, pomogę paru osobom.

– Świetnie! Nawet nie wiem, od czego powinienem zacząć...

– Więc może to ja zacznę – wtrąciłam nieśmiało. – Będę musiała wrócić na kilka dni do swojego kraju...

– Niestety nie możemy opłacić biletu... – mój rozmówca wszedł mi natychmiast w słowo.

– Nie o to mi chodziło – uspokoiliam go natychmiast – Jestem odpowiedzialna za pewną istotę i jeśli zamierzam pozostać tu przez pół roku, to chciałabym ją tutaj przywieźć...

– Ach, rozumiem, nie ma problemu. Pani dziecko może chodzić do szkoły razem z naszymi pociechami. Myślę, że uda się wszystko zorganizować.

– Miałam na myśli mojego psa – sprostowałam natychmiast. – Czy to będzie jakiś problem?

– Pies? – zapytał szczerze zdziwiony. – To żaden kłopot! Domek, który otrzyma pani do swojej dyspozycji, ma mały ogródek...

Następną godzinę rozmawialiśmy o wielu aspektach mojego wolontariatu, obowiązków, procedur biurowych, przez które będziemy musieli przejść i problemów, jakie mogę napotkać przy wyrabianiu wizy. Dziś, kiedy już przeszłam przez to wszystko, wspominam to jako dobrą wprawę przed życiem w Tajlandii. Tak, naprawdę to zrobiłam! I chyba właśnie wtedy zaczęłam czuć, że tak naprawdę żyję. Jednak nie powinnam uprzedzać zbyt wielu faktów.

– Mogę o coś zapytać? – zagaił na koniec Niran, bo tak nazywał się mój rozmówca. – Dlaczego zdecydowała się pani na ten krok? Z takimi kwalifikacjami mogłaby pani znaleźć pracę w dowolnym miejscu na świecie...

– Pewnie tak zrobię, ale kiedy już spędzę tu pół roku – zapewniłam go.

Miałam powiedzieć coś jeszcze, kiedy drzwi gabinetu otworzyły się, a do środka wbiegła „Królowna Śnieżka”.

– Dziadku, babcia zastanawia się czemu jeszcze nie przyszedłeś na obiad! – wykrzyczała te słowa, podekscytowana, po czym zatrzymała się w miejscu i wbiła swoje piękne, ogromne oczy we mnie. – Pamiętałaś! Jesteś tu! – wykrzyknęła

radośnie, po czym zapominając, po co przyszła, podeszła do mnie i objęła mnie w pasie.

Mężczyzna spojrzał na mnie przeprasząco, nieco zażenowany spontanicznym zachowaniem wnuczki. Dałam mu znak dłonią, iż nic się nie stało, a potem przykucnęłam przy dziewczynce i wyszeptalam tak, by tylko ona mogła mnie usłyszeć:

– Przecież obiecałam, prawda?

– Tak!

Tamtego popołudnia zostałam zaproszona na obiad do domu dyrektora szkoły, bym miała okazję popróbować kuchni jego żony, ale także po to, bym obejrzała mały domek, znajdujący się na terenie ich posesji.

## Rozdział XVIII

Do hotelu wróciłam kilka chwil przed zmrokiem. Zmęczona, ale też szczęśliwa. Wreszcie znalazłam drogę, którą chciałam podążać. Gdzieś między obiadem, a pożegnaniem się z małą Saranyą, doszłam do wniosku, że poszukam pracy w Bangkoku lub Pattayi i jeśli tylko będzie to możliwe, to zostanę w Tajlandii na stałe. Tor za niecałe trzy tygodnie do mnie dołączy i oboje będziemy poznawać nasze życie na nowo.

Mimo bólu w mięśniach, nie mogłam położyć się do łóżka. Ktoś niezwykle ważny czekał na mnie na plaży, dlatego też chwyciłam torbę z miskami ustawioną w rogu mojego hotelowego pokoju, dopakowałam karmę i dużą butelkę wody, po czym ruszyłam ku schodom prowadzącym do morza.

Wszystkie trzy psiaki wypatrywały mnie, merdając radośnie ogonami. Cierpliwie odczekały, aż napełnię ich miseczki jedzeniem i wodą, a potem rzuciły się na swój wieczorny posiłek, wyjadając każdy jeden kęs. Jak zwykle obserwowałam je z oddalenia, nie chcąc przeszkadzać w ucztach. I tak samo jak przy poprzednich razach, zostałam nagrodzona lawiną miłości, którą okazały mi swymi wdzięcznymi ślepkami i prośbami o odrobinę pieszczot.

Siedząc na gorącym piasku, drapałam je za uszami i po brzuchach, opowiadając co przyniósł mi tamten dzień. I zrozumiałam, że los odmienił się również dla nich. Co prawda musiałam jeszcze omówić kwestię dodatkowych trzech psów z panem Niranem, ale miałam nadzieję, iż nie będzie miał nic przeciwko ich obecności.

Przytuliłam trzy rozkoszne psiaki i mówiąc im dobranoc, ruszyłam w drogę powrotną do hotelu. Dzień dobiegał końca, ale moje życie dopiero się zaczynało. Udało mi się położyć kamień węgielny pod podwaliny mojej przyszłości. Wiele rzeczy trzeba było stworzyć od podstaw, by mówić o czymś trwałym, co dawałoby mi oparcie w trudnych chwilach, które musiał przynieść ze sobą rozwód z Håkanem.

Spałam jak dziecko, spokojnie, długo i nieprzerwanie. Pierwszy raz od wielu tygodni nie dręczyły mnie żadne koszmary, wątpliwości ani wyrzuty sumienia. Kilka elementów nagle znalazło właściwe miejsce w szeregu wyznaczonym przez życie i przestały kolidować z moim światopoglądem, marzeniami i tym, kim chciałam się stać!

Nowo wyrobiona rutyna nie ciążyła mi jak poprzednia. Tę wypełniałam niemal z radością, ciesząc się każdą nadchodzącą chwilą. Dlatego też wstałam o świcie, poszłam na plażę do moich psiaków, które wyszły mi na spotkanie, czekając w połowie schodów. Podczas gdy one jadły swoje śniadanie, ja

przysiadłam na chłodnym piasku i zagłębiłam się w modlitwie. Nie, to nie była zwykła modlitwa, którą tysiące ludzi recytuje codziennie bez większego zrozumienia. Nie wypowiadałam pacierzy wyuczonych na pamięć w dzieciństwie. W myślach stworzyłam monolog skierowany do Boga. Zawarłam w nim wdzięczność za to, co otrzymałam od losu oraz moje obawy i nadzieje na przyszłość. Śmiałam się i płakałam. Targały mną chwile zwątpienia, ale też radości i entuzjazmu obiecującego dokonanie wielkich czynów.

Wpatrując się w spokojne o poranku morze, uśmiechnęłam się z głębi serca i przywołaawszy najedzone psiaki do siebie, zaczęłam się z nimi bawić. Dawna zahukana, nieco nieśmiała Elżbieta zniknęła. Nie było po niej najmniejszego śladu. Jej miejsce zajęła zdecydowana, goniąca za marzeniami Elka, która nie zawaha się postawić na swoim. W końcu kto może wiedzieć lepiej ode mnie samej, czego tak naprawdę potrzeba mi do szczęścia?

## Rozdział XIX

Wracając na śniadanie do hotelu, podjęłam kolejną z wielu decyzji, które zapadły w tamtym czasie. Zgodnie z rezerwacją, została mi jedna, ostatnia noc w hotelu, który naprawdę przypadł mi do gustu. Postanowiłam przedłużyć pobyt przynajmniej o cztery noce. Owszem, opłata była nieco wyższa, niż zakładałam w rachunkach przed przyjazdem, ale też wydawałam mniej, niż się spodziewałam, więc mogłam sobie pozwolić na to szaleństwo. Przecież jeśli nie zadbam o siebie samą, to nikt inny też tego nie zrobi.

Rozmyślając o tym przy śniadaniu, w cieniu jednej z palm rosnących w ogrodzie, spostrzegłam managera hotelu, rozglądającego się z talerzem w ręku za wolnym stolikiem. Pod wpływem impulsu pomachałam do niego, dając znak, iż jeśli tylko ma ochotę, może przysiąść się do mnie. Wiem, działałam interesownie, mając nadzieję na przychylnie spojrzenie na przedłużenie mojej rezerwacji, co nie było zbyt pewne ze względu na pełne obłożenie hotelu.

– Dzień dobry – powitał mnie, podchodząc bliżej – Na pewno nie będę przeszkadzał? – upewnił się, spoglądając na mnie swymi brązowymi oczyma.

– Witam – odparłam z uśmiechem – proszę siadać, przecież nie mogę pozwolić, by szef szefów jadł na stojąco!

– Ach, gdyby wszyscy nasi turyści byli tak pozytywnie nastawieni... – westchnął niemal życzeniowo.

– Znowu jakieś kłopoty? – zapytałam domyślnie, widząc jego zmęczone oblicze.

– I tak, i nie. Pierwszy raz w tym roku przyjmujemy rosyjsko-języcznych turystów. Co prawda biura podróży i ich przedstawiciele pomagają jak mogą, ale ich obecność jest niewystarczająca. Nie potrafimy zrozumieć o co im chodzi, gdy wieczorową porą zgłaszają jakąś usterkę w pokoju...

Słuchając jego słów, przypomniałam sobie jeden z hoteli, w którym byłam z Håkanem. Rozwiązanie, jakie tam widziałam, mogłoby się sprawdzić i w tajlandzkich warunkach.

– A jeśli powiem, że znam prosty sposób na zakończenie tych prozaicznych problemów?

– Ozłocę cię! – obiecał, uśmiechając się lekko.

– Wystarczy, że sprawdzisz czy istnieje możliwość, bym opłaciła kolejne cztery noce w twoim hotelu – odpowiedziałam szybko, chcąc wykorzystać swoją szansę.

– Podoba ci się u nas! – stwierdził zadowolony jak dziecko, zapominając na chwilę o problemach z gośćmi.

– Bardzo. Zresztą mam tu trójkę przyjaciół i nie chciałabym ich jeszcze

porzucać... – dodałam szczerze, myśląc o czworonogach z plaży.

Abhishek spojrział na mnie spod zmrużonych powiek, jakby niedowierzając moim słowom, w których doszukiwał się jakiejś niespójności.

– Aha...

Nagle pojęłam, iż w mieście rozpusty moje słowa mogły zostać nieopatrzenie zrozumiane.

– To trzy bezpańskie psy mieszkające na plaży – wyjaśniłam natychmiast. – Dokarmiam je rano i wieczorem. Chciałabym, by poczuły, co znaczy ludzka miłość.

Oblicze mężczyzny natychmiast zmieniło swój wyraz. Napięcie malujące się przed chwilą na jego twarzy zniknęło, ustępując miejsca zaskoczeniu.

– Psy? – powtórzył za mną. – Dokarmiasz je?

– Tak. Czy jest w tym coś złego?

– Nie, nie – zapewnił natychmiast. – Po prostu jesteś absolutnie niesamowita! Żeńska wersja doktora Dolittle! – zażartował niespodziewanie. – Większość turystów ich nie zauważa albo przegania, by nie psuły im idealnych wakacji – dodał na powrót poważnym tonem.

– Ja nie potrafię – wyznałam, dłubiąc widelcem w jajecznicę stygnącej mi na talerzu.

Zamyślił się na moment, przyglądając mi się uważnie.

– Nie ma problemu. Jeśli tylko zechciałabyś przejść do mojego biura po śniadaniu, to od razu przedłużymy twoją rezerwację, byś mogła podarować nieco więcej czasu tym bezdomnym stworzeniom – zapewnił.

Czy mogłam prosić o coś więcej? Zdecydowanie nie! Miałam ochotę go uściskać, ale zamiast tego stwierdziłam:

– W takim razie i ja z miejsca opowiem ci o moim pomysle radzenia sobie z nowymi turystami, chociaż pomysł można zastosować względem wszystkich.

– Zamieniam się w słuch – stwierdził, odkładając sztucę na talerz i wpatrując się we mnie uważnie.

Wspomniałam mu o kartach hotelowych, na których każdy gość może zaznaczyć, co jego zdaniem w pokoju wymaga uwagi. Zasugerowałam, iż lista rzeczy powinna zostać sporządzona przynajmniej w czterech różnych językach, w tym Tajskim, tak by dział techniczny bez pomocy recepcji mógł zrozumieć, co w pokoju trzeba naprawić.

– Świetny pomysł – pochwalił. – Ułatwi nam wszystkim pracę i pomoże uniknąć takich sytuacji jak ta sprzed dwóch dni.

– Dokładnie...

– Teraz tylko muszę zastanowić się, jakie pozycje wyszczególnić i poprosić kogoś z biura podróży, by przygotował tłumaczenie...

Plus dla mnie! Przydałam się komuś i mogłam odwdziaczyć się za pomoc.

Poczułam, że mogłabym to robić codziennie.

– Jeśli tylko zechciałbyś zaprosić mnie do swojego biura po śniadaniu, to załatwimy to od razu – powtórzyłam jego słowa – Zajmie mi to zaledwie kilka minut.

– Nie, nie mogę prosić o tak wiele – zaproponował. – Jesteś tu na wakacjach, a nie w pracy.

– Kto wie, może wkrótce to się zmieni – zażartowałam, nawiązując do tego, co sugerował w czasie naszej ostatniej rozmowy.

– Zdecydowałaś się zostać w Pattaya? – zapytał, przysuwając się nieco bliżej, zupełnie jakby chciał wyraźnie usłyszeć odpowiedź.

– Tak.

– Ale jak, gdzie, kiedy?

– Będę wolontariuszem w jeden ze szkół niedaleko miasta...

– Ale to nie praca... Musisz coś zarabiać, powinnaś się za czymś rozejrzeć, sprawdzić możliwości...

– Dostaję małe mieszkanie, wyżywienie i możliwość przemyślenia mojej przyszłości. Jak dla mnie, to całkiem niezły start.

– Faktycznie – przyznał, patrząc na całą tę sprawę z mojego punktu widzenia. – Kiedy zaczynasz?

– Po moich wakacjach. Muszę wrócić na chwilę do Polski, w tym czasie szkoła załatwi wszelkie papiery, pozwolenia na pobyt i tego typu rzeczy, a ja będę miała okazję przywieźć tutaj swojego psa, który teraz z wytęsknieniem na mnie czeka.

Abhishek zaśmiał się tak beztrąsko, że kilku kelnerów uprzątających rzeczy ze stolików odwróciło się w naszym kierunku. Część z nich zaczęła nawet szeptać między sobą, cały czas wskazując w naszą stronę.

– Kolejny pies? Naprawdę? – zapytał zaskoczony. – A nie mówiłem? Żeńska wersja doktora Dolittle!

– Tak! – odpowiedziałam krótko, nie wdając się w szczegóły. Domyśliłam się bowiem, iż dla ludzi z Azji posiadanie psa jako domowego pieszczoła mogło wydawać się dziwnym pomysłem.

– Chciałbym poznać całą tę twoją ferajnę! – wyznał niespodziewanie, uśmiechając się przy tym uroczo.

– Do psiaków na plaży będę szła dziś o dziewiętnastej. Jeśli tylko masz ochotę mi towarzyszyć, to zapraszam, ale musisz się jakoś wkupić. Wiesz... psie przysmaki czy coś... – zastrzegłam śmiertelnie poważnym tonem, podkreślając jak poważnie traktuję tę sprawę.

– Coś na pewno...

Nie dokończył, bowiem mój telefon, leżący na stoliku, zaczął wibrować, by po chwili rozdzwonić się na dobre donośnym dźwiękiem. Jedno spojrzenie na

wyświetlacz wystarczyło, bym miała ochotę rzucić nim o ścianę. Håkan po raz kolejny próbował się ze mną skontaktować.

– Nie odbierzesz? – zapytał zaskoczony manager, widząc z jakim uporem próbuję ignorować melodię dochodzącą do naszych uszu.

– To mój mąż... – odpowiedziałam, jakby to mogło wszystko wyjaśnić.

– Rozumiem, że nie masz ochoty z nim rozmawiać, ale skoro dałaś mu swój miejscowy numer telefonu...

– Musiałam mu w końcu powiedzieć, że odeszłam i nie wracam. Nie mogłam go dłużej trzymać w niepewności, co się ze mną stało.

Abhishek wyraźnie zaniemówił, pojmując w pełni moją sytuację. To, co zrobił po chwili milczenia, jest dla mnie po dziś dzień najśmieszniejszym zdarzeniem tamtego dnia. Po prostu chwycił mój telefon i odebrał go z tak śmiesznym i przeciągłym akcentem, po prostu omal nie wybuchnęłam śmiechem.

– Halllo – wydukał, zmiękczając do granic możliwości i tak miękką spółgłoskę „L”.

Gdybym nie słyszała go nigdy wcześniej, uwierzyłabym w prawdziwość tej niezwyklej wymowy.

– Eszbieta? Nie, sir. Nie ma tu takiej, sir – odpowiadał w tym czasie na pytania zadawane przez Håkana, akcentując każdy z wyrazów.

Zakrywając usta, próbowałam zachować milczenie, ignorując falę chichotu rodzącą się w moim gardle.

– Tak jest, sir. Kupiłem ten telefon wczoraj, sir. Gdzie? Jak to gdzie, sir? W Karon Beach, oczywiście – stwierdził, wymieniając kurort na odległej wyspie Phuket.

Przezabawna dyskusja o niczym trwała jeszcze chwilę, po czym mój wybawca odłożył telefon na stolik i niepewnie zerknął w moim kierunku.

– Nie powinien już cię niepokoić. Jest przekonany, że skradziono ci telefon. Dość dosadnie zwyzywał mnie od złodziei.

– Dziękuję. Nie musiałeś tego robić.

– A ty nie musiałaś przedwczoraj ratować nas w recepcji ani oferować dziś pomocy przy kartach do zgłaszania usterek technicznych...

Zapanowała nienaturalna cisza. Chyba każde z nas to zrozumiało. W którymś momencie przekroczyliśmy niewidzialną granicę relacji manager hotelu – gość. Wkroczenie na obce, nie do końca określone terytorium zażyłości stało się niewygodne i zmieniło całą tamtą rozmowę w pełną niedomówień szaradę.

Dopiliśmy w milczeniu kawę i przeszliśmy do jego gabinetu, gdzie na szybko naszkicowałam mu plan karty zgłoszeniowej, wymieniając takie punkty jak oświetlenie, umywalka, prysznic, lodówka i inne, w moim mniemaniu najczęściej psujące się rzeczy. Spisałam kolejne pozycje po angielsku i rosyjsku, podczas gdy on przedłużył moją rezerwację o kolejne cztery dni. Podałam mu kartę płatniczą,



wstukalam PIN i zegnajac sie cicho, wymknelam sie z jego biura, zanim zdazył cokolwiek powiedziec.

## Rozdział XX

Podążając ścieżką, którą wydeptałam dwa dni wcześniej, ruszyłam przed siebie, kierując się w stronę centrum Pattayi. W świetle promieni słonecznych wyglądała ona jednak zupełnie inaczej. Tanie, kolorowe, nieco kiczowate pamiątki ustawione w witrynach kolejnych sklepików nagle straciły swój magiczny urok, wręcz odstraszały od siebie potencjalnych nabywców. Szkła okularów przeciwsłonecznych, rozłożonych na ulicznych stoiskach, połyskując, ujawniały swoją kiepską jakość i brak powiązania ze słynnymi markami, których nazwy miały na sobie wypisane. Śmieci walające się przy trotuarze rzucały się w oczy bardziej niż w nocy, przypominając przechodniom, gdzie tak naprawdę się znajdują.

Zniknęły zapachy smakołyków sprzedawanych wieczorem, a puste straganiki samym swoim wyglądem zniechęcały do nabycia czegokolwiek, co mogło zostać na nich wykonane. Szare, porysowane blaty, prowizoryczne palniki i obudowy sklecone z czegokolwiek, przypięte łańcuchem do słupów lub barierek, straszyły niczym wraki statków w pirackich filmach sprzed dekady.

Tylko jedna rzecz nie uległa zmianie. Bary, podobnie jak w nocy, były niemal pełne. Piękne, młode dziewczyny (mam nadzieję, że to były tylko dziewczyny!), roznegliżowane w mikroskopijnych sukienkach, bardziej uwydatniających niż kryjących wdzięki, wisiały na starszych, lekko wstawionych już Europejczykach. Tak wiem, byłam zazdrosna. Starsza, grubsza, brzydsza i w dodatku bez faceta. Zdaniem wielu musiałam je uprzedmiotowić, by zrekompensować swoje własne braki i móc poczuć się moralnie lepszą od nich. Cóż, może właśnie tak było, a może po prostu szczerze, bez upiększania opisałam rzeczywistość Pattayi. Aby to sprawdzić trzeba się tam jednak wybrać i opowiedzieć po jednej ze stron mocy. I to niekoniecznie po mojej!

Wracając jednak do tamtego dnia – nie dotarłam do „Walking Street”. Jakieś trzysta metrów przed wielką bramą odebrałam telefon od Nirana, proszącego o pilne pojawienie się w szkole. Nie mając wyjścia, zatrzymałam pierwszego wolnego Tuk-Tuka i wręczając wizytówkę z adresem, zaczęłam targować się o cenę.

Podpisałam szereg papierów, których poziom językowy mnie zaskoczył. Omawiały one dokładnie zakres moich obowiązków, minimalną i maksymalną ilość godzin, które powinnam przepracować jako wolontariusz. Wypełniłam niezliczoną liczbę formularzy, raz po raz wpisując od początku wszystkie swoje dane.

Zmęczona, po przeszło czterdziestu minutach lektury prawniczego bełkotu,

odłożyłam w końcu długopis na blat biurka przełożonego szkoły, w której miałam uczyć dzieci angielskiego.

– Niestety musimy to wszystko załatwić jak najszybciej – wyjaśnił starszy mężczyzna, próbując się w ten sposób wytłumaczyć z wezwania mnie w środku dnia.

– Pewne rzeczy nie mogą czekać – zgodziłam się natychmiast.

– Kiedy wraca pani do Polski po swoje rzeczy i psa? – zapytał nagle, odchodząc od tematu szkoły.

– Zostało mi jeszcze dwadzieścia dni wakacji – odpowiedziałam bez chwili zwłoki. – Hotel w Pattayi mam zarezerwowany jeszcze na pięć nocy, – dodałam – a potem poszukam czegoś innego.

– Rozumiem. Jeśli ma pani ochotę, może pani zacząć korzystać z domku już teraz....

– Nie byłby to kłopot? – Szczerze się zdziwiłam ugodowością dziadka małej Saranyi.

– Trzeba pomagać tym, którzy pomagają budować przyszłość naszych dzieci – odrzekł filozoficznie.

To nasza szansa! – krzyczała moja podświadomość, próbując pchnąć mnie w kierunku rozmowy o trzech psiakach z plaży. Cóż, do odważnych świat należy, więc podjęłam wyzwanie rzucone przez los.

– Właściwie to mogłabym zostawić tu parę rzeczy. Nie ma sensu wieźć ich do Polski, by za parę dni zabierać je tutaj z powrotem.

– Jak najbardziej. Zadbamy o wszystko! – zapewnił natychmiast, przyjmując swoją belferską pozę.

Zapadła cisza, podkreślona dobitnie poprzez głośne cykanie zegara zawieszzonego na jednej ze ścian gabinetu.

– Jest coś, o czym chciałam jeszcze z panem porozmawiać – zaczęłam niepewnie. – Mam nadzieję, iż pan, jako osoba, której leży na sercu dobro innych, zrozumie mnie doskonale...

– Czy mogę w czymś pomóc? – zapytał zdeorientowany, prawdopodobnie nie mogąc domyślić się, o co może mi chodzić.

– Zdecydowanie tak – zapewniłam. – Zdaję sobie sprawę, że wyświadczam mi pan ogromną przysługę, pozwalając przywieźć mojego psa z Polski, by nie musiał przeżywać rozłąki ze mną...

– Ogródek jest do jego dyspozycji... Jeśli nam się uda, to wspólnymi siłami naszej małej społeczności wydzielimy dla niego jakieś zamknięte miejsce, w którym mógłby spędzać czas pod pani nieobecność...

Zaskoczył mnie! Nie spodziewałam się po nim takiej wnikliwości i troski o szczegóły! Kto wie, może kwestia plażowych psiaków też nie wywoła kłopotów.

– Jest pan bardzo wspaniałomyślny – rzekłam, chcąc podkreślić swoje

uznanie dla rewelacji, które mi przekazał. – Nie potrafię wyrazić słowami swojej wdzięczności.

– Nie ma za co – zapewnił.

– Nie mogę jednak nie wspomnieć o pewnej delikatnej kwestii...

– Tak?

– Blisko mojego hotelu znalazłam trzy bezpańskie psy. Nie są agresywne, wręcz przeciwnie, pragną kontaktu z człowiekiem. Nie widząc możliwości długookresowej pomocy, zaczęłam je dokarmiać, chcąc podarować im chociaż namiastkę prawdziwego psiego życia, jednak teraz, kiedy zamierzam zostać tu na dłużej...

– Chciałaby pani je przygarnąć – dodał domyślnie.

Zrobiło mi się głupio. Zrozumiałam o jak wiele prosiłam tę prostą społeczność, która zechciała mnie przygarnąć na pół roku. Nie zamierzałam jednak wykorzystywać ich dobrego serca.

– Oczywiście zostawię odpowiednie środki na ich wyżywienie i opiekę na czas moje nieobecności... – zastrzegłam.

– Nie, nie chodzi o to... – teraz to on ważył każde ze słów, które chciał wypowiedzieć. – Tutaj pies chodzi wolno, czasami przyplącze się skądś i zostanie, po kilku dniach zniknie... – zaczął opowiadać oględnie – mało kto zwraca na to uwagę.

– Proszę tylko o kilkanaście dni opieki, na czas mojego powrotu do Polski. Sam pan wie, jest to niezbędne dla mojego legalnego wjazdu jako wolontariuszki na teren Tajlandii.

Zapanowała cisza. Starszy mężczyzna siedzący w fotelu po drugiej stronie biurka zastanawiał się nad czymś, co niewątpliwie było dla niego ważne.

– A co się z nimi stanie po upływie tych sześciu miesięcy? – zainteresował się. – Wrócą na ulicę?

Nie ukrywam, jego insynuacja, iż porzucę te małe istotki po kilkunastu tygodniach opieki zezłościła mnie i przez jedną, krótką chwilę miałam ochotę powiedzieć mu kilka gorzkich słów.

– Pojadą tam, gdzie ja! W momencie przygarnięcia ich biorę na siebie odpowiedzialność za nie do ich ostatnich chwil na ziemi.

Ponownie zapadła cisza. Tym razem była ona jednak inna jakościowo. Przypominała mi bowiem tę poranną. Podobnie jak wtedy, gdy Abhishek uświadomił mi moją niecodzienną chęć pomocy, tak teraz pan Niran nie znalazł słów, którymi mógłby odpowiedzieć na te ostatnie, które padły w naszej rozmowie.

– Zatem nie powinno być z tym problemu, skoro...

Wypowiedź przerwało mu ciche, ale dość natarczywe pukanie do drzwi, które po chwili otworzyły się, wpuszczając do środka zasmuconą dziewczynkę.

– Dziadku, mama źle się czuje – wyszeptwała smutna Saranya. – Nie wiem jak

jej pomóc.

Mężczyzna poderwał się z krzesła, zapominając o normalnym dla niego opanowaniu. Szepcząc słowa przeprosin skierowane do mnie, wybiegł z pomieszczenia, pozostawiając mnie sam na sam z dzieckiem. Dopiero po dłuższym momencie dziewczynka zauważyła mnie i podeszła bliżej. W jej dużych oczach kręciły się powstrzymywane łzy, których za wszelką cenę nie chciała uronić.

– To ty! – wyszeptała. – Wróciłaś!

– Tak, kochanie, wróciłam i jeszcze nie raz się spotkamy – zapewniłam szybko.

– To dobrze. Ja chcę takie włosy jak twoje! – wyszeptała łamaną angielszczyzną, dotykając moich rozpuszczonych pukli.

– Najpierw musisz dorosnąć – poleciłam, mrugając do niej porozumiewawczo powieką. – Ale zanim to nastąpi, powinnaś pobiec z dziadkiem do mamy i zobaczyć, czy już się lepiej czuje.

– Tak – „Królowa Śnieżka” skinęła głową i odwróciwszy się na pięcie, ruszyła biegiem w kierunku wyjścia.

Zostałam sama, nie bardzo rozumiejąc, co tak właściwie się stało. Poznałam matkę dziewczynki w czasie wczorajszej kolacji. Mówiła podobnie jak jej córka, uroczo, nieco zalotnie, kalecząc podstawy gramatyczne obcego dla niej języka. Była piękna, ale przygaszona. Szara cera wskazywała na problemy ze zdrowiem, ale dopiero wtedy, siedząc w gabinecie pana Nirana, zrozumiałam, iż mogły być one znacznie poważniejsze, niż zakładałam.

Wracając do hotelu późnym popołudniem, nie mogłam pozbyć się widoku płaczącej Saranyi i jej matki leżącej na noszach wnoszonych do karetki. Sanitariusze bardzo troskliwie się nią zajmowali, szepcząc coś raz po raz w stronę zaniepokojonej starszej pary. Pan Niran stracił nagle cały swój autorytet, którym do tamtej pory promieniowała jego postawa i stał się nagle małym, obciążonym karbem problemów człowiekiem.

Nie chciałam przeszkadzać w tak osobistej chwili jak choroba dziecka, bo przecież matka „Królowy Śnieżki” była nim dla nich. Stojąc w odległości kilku metrów, obserwowałam wszystko, chcąc się upewnić, iż targana rozpaczą dziewczynka nie wymknie się dziadkom, by pobiec za odjeżdżającym ambulansem. Ta jednak płacząc, wtuliła się w spódnicę babci i ocierając piąstkami oczy, starała się być opanowana, podobnie jak otaczający ją dorośli.

Nie ucieszył mnie widok hotelu ani nawet kwitnących akurat kwiatów hibiskusa, których pełno było w ogrodzie na zewnątrz mojego pokoju. Nie cieszyłam się ze słońca łagodnie grzejącego moją skórę ani nawet z przedłużonego pobytu. Być może moje chwilowe odrętwienie wynikało z faktu, że nigdy wcześniej nie zetknęłam się z chorobą osoby, której los bezpośrednio mnie dotyczył. Wiem, matka dziewczynki, widziana zaledwie dwa razy w życiu nie

powinna być dla mnie szczególnie ważna, ale ogniwnem łączącym nas w mojej ocenie była właśnie mała, słodka „Królewna Śnieżka”.

Kolejnych kilkadziesiąt minut minęło mi na prostych, codziennych czynnościach. Prysznic, lektura wiadomości i sprawdzenie skrzynki pocztowej. Kolejny nieprzeczytany email od Håkana, na który jednak nie zmarnowałam kilkadziesiąt minut spędzonych na bezproduktywnym dumaniu o jego treści. Nie musiałam tego robić, tytuł mówił sam za siebie – „Wiem, że cię okradli!”. Cóż, skoro on wiedział, to zapewne musiało to być prawdą... Poczułam wdzięczność za małe przedstawienie odegrane rano przez Abhisheka, dzięki któremu nie musiałam rozważać więcej dylematów typu odebrać czy nie odebrać. Połączenia od mojego męża miały już nie nadejść.

## Rozdział XXI

Punktualnie o dziewiętnastej schowałam do plecaka wieczorną ucztę dla wkrótce już moich psiaków i ruszyłam przed siebie, nucąc pod nosem jeden z moich ulubionych przebojów Shanii Twain „Man I Feel Like a Woman”. Mając nadzieję, iż choroba mamy „Królowy Śnieżki” okaże się łatwa w wyleczeniu, fantazjowałam o świetlanej przyszłości.

Nie wiem, czy zrobiłam dwa, czy też może trzy kroki po przekroczeniu hotelowej bramy, gdy nagle jakiś mężczyzna w jeansach i turkusowej koszulce pojawił się u mojego boku i uśmiechając się szeroko, rzekł:

– Witam ponownie, pani Dolittle.

Oniemiałam! Czy zdarzyło ci się kiedykolwiek nie poznać kogoś, kogo znałaś? Cóż, mi tak! Manager kurortu, w którym mieszkałam, zmienił się bowiem nie do poznania, kiedy porzucił czarny garnitur pasujący jak znalazł na jakąś niezbyt rozrywkową stypę.

Jak babcię Adelę kocham, przysięgam, nie sądziłam, że pod tym służbowym strojem kryje się cokolwiek innego niż piwny brzusek starszego pana. Cóż, zawiodłam się... Nie, nie, to znaczy nie zawiodłam się, a raczej przeżyłam miłe zaskoczenie, bowiem rękawki jego koszulki dosyć ciasno opinały się na całkiem ładnie wyrzeźbionych bicepsach.

Nic na to nie poradzę! Tkwiąc całym sercem w liczbach i ekonomicznych zestawieniach, nie potrafiłam nigdy zabić w sobie tego cichego głosu estetyki doceniającej męskie wdzięki. I nie chodziło o to, że dany mężczyzna mi się podobał. Miałam na myśli proporcje, które tak naprawdę z moją ukochaną matematyką miały wiele wspólnego!

– Dobry wieczór, muszę przyznać, iż nie spodziewałam się – rzekłam, próbując ignorować ciemne oczy wpatrzone we mnie.

– A dlaczegoż to? Przecież zapowiedziałem swój udział w tym małym przedsięwzięciu. Nawet przyniosłem ze sobą wkupne – dodał, pokazując całą reklamówkę wypełnioną smakołykami dla psów.

– Cóż, nie byłam pewna, w końcu przerwał nam telefon od...

Nie dokończyłam, bowiem uciszył mnie gestem dłoni. Była w nim zawarta niema prośba o nie psucie tych kilku chwil, które mieliśmy poświęcić psiakom. Uśmiechnęłam się w odpowiedzi i kiwając głową na znak zgody, ruszyłam w kierunku schodów prowadzących na plażę. Abhishek podążył zaś moim śladem.

Trójka czworonogów wyczekująca mnie w cieniu zarośli podejrzliwie przyjrzała się towarzyszącemu mi mężczyźnie. Przez moment zdawało się nawet, że tym razem nie odważą się wyjść z ukrycia, by zjeść przynależną im kolację. Nappełniłam wszystkie miski zarówno karmą, jak i wodą, a wokół mnie nadal nie

kręcił się żaden z futrzaków. Nawet najmniejszy z nich, z reguły ufny, przyglądał się nam niepewnie, nie wiedząc, jak się zachować.

Zanim zdołałam obmyślić strategię działania, z rozwiązaniem wyszedł sam powód tego całego zamieszania. Otworzył jedną z torebek ze smakołykami i biorąc kilka z nich do ręki, poszedł w kierunku zarośli. Część z nich umieścił na ziemi, resztę eksponując na otwartej dłoni.

Zachęcony zapachem nowego rodzaju pożywienia, szczeniak krok po kroku ruszył w jego kierunku i skubnął jeden z przysmaków, po czym zaczął wyjadać kolejne, leżące na ziemi, a potem również z ręki obcego dla niego mężczyzny. Kiedy pozostałe psy zauważyły, że nic im nie grozi ze strony potężnego człowieka, również się do niego zbliżyły.

– Rozpieszczasz je! – zagrzmiałam nieco zazdrosna, iż obdarzyły kogoś innego swoim zaufaniem.

Prawdopodobnie kierował nimi instynkt przetrwania, każdego dnia bowiem musiały walczyć o chociażby odrobinę pożywienia.

– Ja? – zapytał zdezorientowany. – Dlaczego?

– Powinny najpierw zjeść kolację, a dopiero potem otrzymać deser! – wytłumaczyłam szybko.

Manager hotelu popatrzył na mnie przez chwilę, zachowując poważną minę, która chyba miała wyrażać skruchę, by w końcu wybuchnąć radosnym, niepohamowanym śmiechem.

– Zabrzmiałaś właśnie niczym moja rodzona matka, broniąca mojemu młodszemu rodzeństwu słodyczy przed głównym posiłkiem!

Nie byłam pewna, czy powinnam poczuć się obrażona, czy też zaszczycona tym porównaniem, dlatego też postanowiłam je po prostu zignorować!

– Muszę o nie dbać! I oswoić na tyle, by dały się stąd zabrać do kliniki weterynaryjnej – wyznałam w końcu.

Tym razem to ja go zaskoczyłam. Oddał psiakom resztę smakołyków trzymanyh w dłoni i podszedł do mnie, zapominając po co tak naprawdę przyszliśmy na plażę.

– Naprawdę zdecydowałaś się? Zostajesz?

– Tak – odpowiedziałam krótko, nie chcąc zbyt obszernie dyskutować na ten temat. W końcu była to moja indywidualna sprawa.

– I przygarniesz je wszystkie trzy? Szkoła, w której będziesz wolontariuszką, zgodziła się na to?

– Tak – szepnęłam ponownie. – Przywiozę również Tora z Polski – uzupełniłam, na wypadek gdyby zapomniał, iż rozmawialiśmy na ten temat przy śniadaniu.

– A co stanie się po upływie tych kilku miesięcy? – drążył w tym czasie temat.



– Pojadą ze mną – odpowiedziałam, wzruszając ramionami – Zresztą, mam nadzieję, że w międzyczasie znajdę tu jakąś pracę.

– Przewidujesz zatem osiedlenie się tutaj?

– Cóż, macie tu zdecydowanie lepszy klimat niż Szwedzi – mruknęłam, nawiązując do mojego ostatniego miejsca zamieszkania – Przynajmniej nie będę bankrutować na ogrzewanie.

– Fakt – przyznał, po czym ruchem głowy wskazał mi moje trzy psiaki, pałaszujące w najlepsze swoje porcje – zdaje się, że słodczyce od wujka Abiego nie zepsuły im apetytu.

Roześmiałam się. Tamtego wieczora przychodziło mi to nader łatwo. Być może powodem tego była świadomość odnalezienia chociażby chwilowej stabilizacji, a może stało się to za sprawą towarzyszącego mi mężczyzny. Nie potrafiłam skupić się na problemach czy ewentualnych przeciwnościach losu. Przyszłość widziałam jedynie w jasnych barwach, niezakłóconych żadnym, chociażby szarym cieniem.

Staliśmy w ciszy, oboje zagłębieni w swoich własnych myślach, a milczenie panujące między nami zdawało się nam nie przeszkadzać. Uśmiechając się nieznacznie, zaczęliśmy odpowiadać na zaczepki czworonogów dopraszających się nie tylko o uwagę, ale przede wszystkim o pieszczoty. Nawet nie zauważyliśmy, gdy złocista kula zniknęła za horyzontem, pogrążając wszystko w mroku.

– Chyba powinniśmy wracać – szepnął w końcu Abhishek, niechętnie podnosząc się z nadal nagrzanego promieniami słonecznymi piasku – jest już całkiem ciemno. Nerozsądnie byłoby tu pozostawać w nocy...

– Co masz na myśli? – zapytałam zdezorientowana, przypominając sobie poprzednie wieczory, które spędziłam samotnie na opuszczonej plaży.

– Nie chce wdawać się w szczegóły – stwierdził oględnie – Po prostu weź tę przestrożę pod uwagę, kiedy kolejnym razem przyjdiesz tutaj nakarmić te małe nicponie – rzekł, drapiąc za uchem jednego z nich.

– Ale...

– Po prostu mnie posłuchaj – uciął delikatnie temat. – Zanim jednak odprowadzę cię do hotelu, mam do ciebie kilka pytań.

Jego słowa zaintrygowały mnie. Już miałam ochotę skomentować to w jakiś ostry, ale dowcipny sposób. Niestety, a może na szczęście, zanim zdążyłam wygłosić ciętą ripostę, usłyszałam:

– Nie bój się, nie zamierzam z tobą flirtować ani namawiać do wakacyjnego romansu – zastrzegł od razu – Mój znajomy wspominał mi o pewnej posiadłości w Bangkoku i sądzę, że mogłabyś bez problemu ją otrzymać – wyjaśnił szybko.

Nie wiem czy bardziej byłam zawiedziona zapewnieniem, iż nie interesuje się mną jako kobietą, czy też szczęśliwa ewentualną pracą, która mogła pojawić się przede mną podana niemal na srebrnej tacy.

Moje urażone damskie ego postanowiło jednak dojść do głosu i nieco uszczypliwie stwierdzić:

– Cóż, siedzimy samotnie na plaży, gdzie podziwialiśmy zachód słońca, a teraz wpatrujemy się w siebie, szepcząc cicho, tak by nikt nie mógł nas usłyszeć. Jak na mój gust, to całkiem niezły początek flirtu!

Roześmiał się, co uznałam za punkt dla mnie. Z zakłopotaniem chwycił się za szyję i przeciągając mięśnie ramion, próbował skierować swój wzrok na bliżej nieokreślony dla mnie punkt.

– Teoretycznie masz rację... Być może będę musiał zrewidować kilka ze swoich poglądów – stwierdził tajemniczo – Jednakże służbowa etyka nie pozwala mi ujrzeć w gościu hotelowym atrakcyjnej, prawie samotnej kobiety.

Zabolało, ale tylko trochę. Miał rację. Zbyt wiele rzeczy stało na drodze do czegokolwiek, co mogło się między nami wydarzyć. W świetle prawa należałam do innego mężczyzny, który przed ołtarzem włożył mi na palec ślubną obrączkę, a któremu ja obiecywałam wierność małżeńską. Zupełnie inną sprawą był fakt, iż on sam nie potrafił jej dochować. Pozostawała również kwestia służbowa. Przez kolejne dni nadal pozostawałam w, co prawda opłaconej, ale gościnie hotelu, którym zarządzał.

Pamiętam, że zwyzywałam się w myślach od napalonych bab, które nie potrafiły przejść obojętnie obok miłego dla ich oczu mężczyzny. Czułam się z tym strasznie głupio.

– Przepraszam, jeśli odniosłeś wrażenie, że zaciągnęłam cię tutaj... – zaczęłam, nie bardzo umiając ująć w słowa chaotyczne myśli, które pojawiły się nagle w mojej głowie...

– Ty? Zaciągnęłaś mnie tutaj? – powtórzył za mną, jakby nie mógł uwierzyć w to, co słyszał – przecież sam się wprosiłem na tę wyprawę. Nie pamiętasz? Nie spodziewałaś się mojej osoby dziś wieczorem...

– Masz rację, ale to, co powiedziałaś...

– Elszbieto – rzekł, lekko zniekształcając moje imię – czasami pewne rzeczy muszą zostać wypowiedziane, by przygotowały grunt na to, co być może nadejdzie... Nie mniej jednak mam nadzieję, że będzie jeszcze wiele okazji, by to wyjaśnić. Teraz zajmijmy się kwestią pracy w Bangkoku...

Nie dał mi nawet cienia szansy na odniesienie się do jego enigmatycznej wypowiedzi i odrzucenia moich nieskładnych przeprosin. Zasypał mnie szeregiem pytań, ale też informacji związanych z posadą w jednej z firm finansowych działających na terenie Azji. Dyskutując z nim na temat rynków walutowych, stanu gospodarki globalnej i tendencji w marketingu, bardzo szybko zapomniałam o niezręcznej sytuacji, romantycznych insynuacjach i niedomówieniach, które niespodziewanie zawisły między nami. Ba, poczułam się, jakbym odbywała rozmowę o pracę, do której szczerze mnie namawiał. Z każdą chwilą zyskiwałam

pewność, że w Tajlandii, chociaż leżała na końcu znanego mi świata, mogę poczuć się bardziej jak w domu niż w nowoczesnym mieszkaniu w Sztokholmie, gdzie tkwiłam uwięziona w obrębie czterech ścian, jako idealna żona jeszcze bardziej idealnego męża. Nie będzie mnie początkowo stać na luksusy, ale też miałam świadomość, że na wszystko z biegiem czasu przyjdzie pora. Trzeba było tylko postawić pierwszy, zdecydowany krok na drodze ku przyszłości.

## Rozdział XXII

Nie, nie zamierzam zmienić tej opowieści w streszczenie wakacji mojego życia, dlatego też właśnie w tym momencie zakończę opowiadanie każdego z kolejnych dni. Myślę, iż powyżej zawarłam wszystko, co musiało być powiedziane.

Co stało się potem? Równie trudno opowiedzieć o tym zarówno w kilku zdaniach, jak i w całych tomach nikogo nie interesującego tekstu. Spróbuję jednak nie pominąć żadnego ważnego elementu tworzącego skomplikowaną sieć przypadku, przeznaczenia i tego czegoś, co niektórzy nazywają szczęściem.

Z pomocą weterynarza, którego wyszukał dla mnie Abhishek, udało nam się zabrać psiaki z plaży, do której dość mocno się przywiązały i której nie miały początkowo zamiaru opuszczać, martwiąc się zapewne o brak nowego miejsca na ziemi. Nie obyło się bez przekupywania psimi przysmakami, prośbami, a nawet pieszczotami, na które wszystkie trzy zwierzaki były bardzo łase. Koniec końców jednak, po przeszło godzinnych staraniach, wszystkie futrzaki znalazły się w samochodzie.

Akcja relokacji odbyła się mojego ostatniego wieczora w części hotelowej Pattayi, tak bym nie musiała martwić się o los czworonogów po wyprowadzce z hotelu. W czasie przejażdżki autem, prawdopodobnie pierwszej w ich życiu, były nieco przestraszone. Zarówno zmianą otoczenia, jak też obecnością kilku nieznanym im wcześniej twarzy oraz ogromu zapachów, które z pewnością wyczuwały w tylnej części samochodu. Po przyjeździe do gabinetu weterynaryjnego okazało się, że stan ich zdrowia, wbrew naszym oczekiwaniom, wymagał kilkudniowej obserwacji w klinice. Doktor zasugerował też przeprowadzenie, w miarę moich możliwości finansowych, wszystkich możliwych badań oraz obowiązkowego odpchnienia zaniedbanych do tej pory stworzeń.

Pewnie ktoś może mi zarzucić, że zostawiając je w klinice, zyskałam kilka dni czasu dla siebie. Być może właśnie tak było, bowiem rzeczywiście wykorzystałam go do maksimum. Nie martwiąc się o los moich podopiecznych, znajdujących się w rękach profesjonalnych medyków, wyjechałam na kilkudniowy wypad na jedną z rajszych wysepek, z których słynie Tajlandia.

Była tam tylko plaża, mały, bardzo prosto wyposażony bungalow, hamak między palmami i ja! Tak! Udało mi się spełnić marzenie zrodzone w czasie ostatnich kilku godzin mojego życia u boku Håkana, a raczej w obrębie złotej klatki, którą dla mnie stworzył. Wizja białego piasku i turkusowej wody była wsparciem w trudnych chwilach, kiedy stawiałam na szali niepewności całą moją przyszłość. Zaś jej realizacja stała się prologiem otwierającym całkiem inne życie. Spytasz czy siedząc wtedy na pustej plaży, żałowałam ostatnich trzech tygodni mojej ziemskiej egzystencji? Nie, nie zmieniłabym nawet jednej sekundy.

Owszem, zdrada męża bolała i po części chyba boli nawet dziś, ale to właśnie ona uświadomiła mi jałowość codzienności, na którą dobrowolnie się skazałam. Warto gonić za marzeniami, ryzykować, a nawet od czasu do czasu zdobyć się na odrobinę szaleństwa. Bez tego bowiem życie staje się wegetacją, ustanowioną przez rutynę codziennych obowiązków. Wracając jednak do rajskiej wyspy – budziłam się tuż przed świtem, by powitać pierwsze promienie słońca oświetlające błękitne morskie fale. Nauczyłam się wyciszać szaleńcze myśli za pomocą medytacji, która przyniosła mi ukojenie, ale też rozjaśniła umysł na tyle, bym przestała obawiać się jutra. To tam zrozumiałam, iż to „teraz” jest wrogiem nas samych. „Teraz” determinujące wszystko oprócz przeszłości, której nie potrafi zmienić. Odcięta od świata i przede wszystkim elektroniki, za sprawą której dociera do nas medialna papka spreparowana w tak oczywisty sposób, iż łatwo można przewidzieć, jakie informacje zostaną w niej wyszczególnione, odkryłam, że samotność może mieć zbawienny wpływ na człowieka. Pierwszy raz w życiu nie potrzebowałam nikogo, by czuć się w pełni sobą! Odkryłam, że to nie rodzice, ewentualne rodzeństwo czy też życiowy partner decydują kim jesteśmy. Oczywiście mogą to robić i bardzo często to czynią. Tak przez długi czas postępowano również ze mną. Warto jednak odciąć się od nich chociażby na moment, by zrewidować poglądy, dowiedzieć się, co podpowiada nam własna dusza czy też wewnętrzne ja i zrobić to. Los, przeznaczenie, Bóg czy cokolwiek innego, co twoim zdaniem powołało nas do życia, dało nam jedną szansę i to od nas powinno zależeć, jak ją wykorzystamy!

Zrobiło się nieco filozoficznie, ocierając się niemal o egzystencjalizm, prawda? W takim właśnie duchu upłynęły mi dni na maleńkiej wysepce. Po tym wyciszającym doświadczeniu wpadłam w wir wydarzeń, które trwały przeszło dwa miesiące.

Po powrocie do cywilizacji wprowadziłam się do małego domku zaoferowanego mi przez pana Nirana. Odebrałam psiaki z kliniki i zaczęłam bardzo poważnie rozmyślać nad ich imionami. W końcu oficjalnie stały się moimi towarzyszami i młodszymi braćmi oraz siostrą Tora, który nawet nie spodziewał się powiększenia naszej rodziny. Do dziś zastanawiam się, kto tak naprawdę kogo uratował na tamtej plaży. Czy oby na pewno ja stałam się ich wybawicielką, czy też one wywarły wpływ na mnie, pokazując, że nawet nie posiadając niczego, można dać coś z siebie drugiej osobie. To ich miłość, ufność i oddanie sprawiły, że uporządkowałam wiele z moich myśli, które do czasu spotkania z nimi krążyły niespokojnie po mojej głowie, powodując uczuciowy chaos.

Moje lokum było tak naprawdę niewielką, bardzo skromną chatką. Wyodrębniono w niej pokój sypialny oraz nazwijmy to salon, w którym znalazł się niewielki aneks kuchenny. Nie było to nic specjalnego. Po prostu przy jednej ze ścian, za szeregiem szafek oddzielających ten kąt od reszty, usytuowano niewielki

zlew i małą, jednopalnikową kuchenkę gazową. Ktoś, zapewne żona pana Nirana oraz matki pozostałych dzieci, zadbały o to, by upiększyć wnętrza i uczynić je bardziej kobiecymi. Wszystkie bowiem zostały udekorowane bajecznie kolorowymi materiałami, z których słynie ta część Azji. Batikowe narzuty, poduszki i maty ożywiły niewielkie pokoiki, czyniąc je bardzo przytulnymi. Może zabrzmiało to dziwnie, ale właśnie tam, wśród przedmiotów przygotowanych z serca i prawdopodobnie wdzięczności za chęć nauczania dzieciaków, poczułam się jak w domu, którego od dawna szukałam. Nie brakowało mi luksusowych przedmiotów pozostawionych w apartamencie Håkana. Nie tęskniłam za ogromnym, miękkim łóżem i jedwabną pościelą. Nie czułam żalu za ogromną garderobą i przestronną łazienką, wyłożoną włoskimi kafelkami. W tamtym momencie mojego życia nic nie mogło równać się ze snem na zwykłym materacu, w otoczeniu wtulonych we mnie psiaków.

Pamiętam, że po pierwszej nocy spędzonej w tym niezwykłym, chociaż bardzo przeciętnym wnętrzu obiecałam sobie, iż tak właśnie będzie wyglądał mój własny dom w przyszłości. Mały, przytulny, otwarty na wszystkich tych, którzy potrzebują pomocy i odrobiny pozytywnego uczucia. Wypełniony przedmiotami, których faktycznie można używać, a nie tylko podziwiać jak dzieła sztuki wyeksponowane w muzeum.

Kiedy już zadomowiłam się nieco wśród do niedawna nieznanym mi ludzi, zaczęłam spędzać wiele czasu w towarzystwie „Królowy Śnieżki”. Po części wynikało to z faktu, że jej dziadkowie przesiadywali niemal każdą wolną w chwilę w szpitalu, doglądając swojej córki. Choroba okazała się dosyć ciężkim przypadkiem Fibromialgii. Co prawda rekonwalescencja wymagała wielu miesięcy terapii farmakologicznej, ale dawała jedynie szansę na złagodzenie objawów. Stadium, w którym znajdowała się chora, było na tyle poważne, iż dorośli członkowie rodziny doszli do wniosku, że szpital nie jest najodpowiedniejszym miejscem dla ośmioletniej Saranyi. Dlatego też pozostawiono ją pod moją opieką. Nie, nie przymuszono mnie do tego. Sama wyraziłam chęć pomocy, widząc jak to biedne, zagubione dziecko płacze się między pograżonymi w smutku osobami, całkowicie ignorującymi jej dziecięce jeszcze obawy i odczucia.

Nie zmarnowałyśmy ogromu godzin, które razem spędziłyśmy. Nauczyłam ją miłości do zwierząt i tego, że mogą się one stać pełnoprawnym członkiem rodziny. Mała Saranya śmiała się radośnie, widząc jak jeden z psiaków podejmuje pierwsze, jeszcze nieudolne próby siadania i aportowania na komendę.

Jednak to ja jestem osobą, która nauczyła się najwięcej, bowiem poznawanie nie tylko tajskiego stylu życia, ale przede wszystkim systemu wartości i postrzegania świata, było dla mnie równie niezwykłym doświadczeniem, co przebywanie z moją zaledwie kilkuletnią nauczycielką. Jej radość życia i umiejętność odnalezienia fascynujących elementów codzienności stała się

zaraźliwa, bowiem i ja zaczęłam patrzeć na zwykłe rzeczy z zupełnie innej perspektywy. Nauczyłam się dostrzegać piękno zarówno dziko rosnącej orchidei, jak i stada małpek, które z chęcią sięgały po cudzą własność. Wszystko to, czego w czasie choroby swojej matki nauczyła mnie Saranya, nie może być ani sklasyfikowane ani wycenione, bowiem dar jednej duszy dla drugiej jest po prostu bezcenny.

Nie mogę pominąć również osoby Abhisheka, który nie tylko pomógł mi przy przygarnięciu Szczęściarza, Lary i Bonda – bo tak koniec końców zostały nazwane moje nowe psiaki – ale także faktycznie uczestniczył w skompletowaniu dokumentów i wysłaniu mojego CV do firmy w Bangkoku, o której wspominał mi podczas wieczoru na plaży. Mimo, iż byłam do całego pomysłu dosyć sceptycznie nastawiona, nie wierząc wystarczająco w moje niewielkie doświadczenie zawodowe, to on cały czas wspierał mnie i przekonywał, że na pewno uda mi się zdobyć każdą pracę, o jaką będę się starać. Aby udowodnić mi, jak bardzo ufa moim umiejętnościom i kompetencjom zawodowym, pojechał ze mną na ową rozmowę o pracę, zostawiając hotel na pastwę swojego asystenta i pomniejszych kierowników. Cierpliwie czekał pod drzwiami gabinetu, do którego mnie zaproszono, a po samej rozmowie, trwającej przeszło godzinę, zaprosił mnie na uroczysty obiad w jednej z eleganckich restauracji w centrum. Nie zważając na moje protesty, oświadczył, że tak właśnie musi być!

– Dlaczego akurat tu i dlaczego akurat dzisiaj? – zapytałam, przeglądając menu i zachodząc w głowę nad tym, kto tak naprawdę kryje się za całą tą otoczką idealnego gentlemana.

– Musimy jakoś uczcić twoją nową posadę! – zakomunikował z uśmiechem, przez moment przybierając wygląd małego psotnika, któremu jakieś drobne przewinienie uszło płazem.

Jego słowa, a może raczej pewność siebie, zaskoczyły mnie niesamowicie.

– Przecież ja jeszcze nie dostałam tej pracy – upomniałam go szybko, przypominając, że jeszcze nic nie jest przesądzone.

– Jestem pewien, że stanowisko już należy do ciebie – odparł, wygodniej rozsiadając się w fotelu. – Po prostu muszą sprawdzić wszystkie referencje, szkolenia, które odbyłaś, czyli, brzydko mówiąc, odbębnić wszystkie wymagane procedurą formalności. Poza tym pewnie pragną potrzymać cię nieco w niepewności – dodał swoim spokojnym, niezwykle melodyjnym głosem. – A nawet jeśli z jakiegoś irracjonalnego powodu nie zatrudnią cię u siebie, to przynajmniej ta wycieczka do Bangkoku nie będzie całkiem zmarnowana! – poinformował mnie cicho, przyjemnie mrużąc oczy pod wpływem szerokiego uśmiechu, który pojawił się na jego twarzy.

Jak okazało się dwa dni przed moim wylotem do Polski, jego słowa, jak i zaproszenie na obiad, okazały się prorocze. Walcząc z walizką zapakowaną

prezentami dla mamy i dawno nie widzianych koleżanek z Polski, odebrałam telefon, za pośrednictwem którego poinformowano mnie o otrzymanej pracy.

Być może wyda się to śmieszne, ale niemal siadłam z wrażenia na niedomkniętej walizce i podziękowałam w myślach za wszystko, co spotkało mnie na tej obcej dla mnie ziemi. Miałam ochotę śmiać się i płakać niemal na zmianę, bowiem trudno mi było uwierzyć we wszystko, co przydarzyło mi się podczas niespełna czterech tygodni zupełnie spontanicznych wakacji, a raczej ucieczki od dawnego, fikcyjnego życia. Kto mógł przypuszczać, że to właśnie tam zyskam miejsce, do którego chciałam i mogłam powrócić, bo ktoś na mnie czekał. Najbardziej niesamowite było to, iż wyzwoliłam się spod czaru nieporadności rzuconego na mnie przez Håkana tylko po to, by ubezwłasnowolnić mnie mój własny strach. Strach o jutro wynikający z obaw o „teraz”.

Odetchnęłam głęboko i wolno wypuszczając powietrze z płuc, podrapałam za uchem Szczęściarza, który przysiadł obok łóżka i zaczął bacznie mi się przyglądać. Wyczuł, że właśnie stało się coś ważnego, a on w swoim psim mniemaniu doszedł do wniosku, że powinien stać się integralną częścią owego doniosłego momentu.

Pobyt w Polsce trwał zaledwie dwa tygodnie, z których wycisnęłam jak z cytryny wszystko, co tylko można było uzyskać. Staralam się spędzać sporo czasu z mamą, wiedząc, że z Tajlandii nie będę mogła do niej przyjeżdżać tak często, jak bym chciała. Gotowałyśmy razem dawno zapomniane przeze mnie dania, które przywoływały w moich myślach obraz minionego, szczęśliwego dzieciństwa. Podpatrując sprawne i zwinne dłonie mojej rodzicielki, uczyłam się lepić pierogi, planując wykonanie całej partii dla moich tajlandzkich znajomych. Co prawda zdarzyło mi się jeść coś na kształt bułeczek na parze z nadzieniem mięsny, ale ich smak nie mógł się równać w moich oczach ze smakiem prawdziwych ruskich. Śmiałyśmy się jak za dawnych lat, wspominając moje dzieciństwo i lata dorastania. Mama wyszukała na tę okazję wszystkie stare albumy ze zdjęciami, nieco już pożółkłymi, by odświeżyć wspomnienia pokryte kurzem minionych lat. Przedostatniego dnia zaś wybrałyśmy się na ogromne zakupy, odnawiając moją służbową garderobę, która nadwątlila się w czasie mojego małżeństwa z Håkaniem...

Skoro już powróciłam do osoby pana Svenssona, to warto nadmienić, iż znaczną część mojego grafiku wypełniły spotkania z wujem Andrzejem, który zgodził się zająć się moją sprawą rozwodową. Razem bardzo szybko napisaliśmy zgrabny pozew i złożyliśmy go w sądzie. Niezbędne było również sporządzenie poświadczonego notarialnie pełnomocnictwa dla wuja, aby mógł reprezentować mnie podczas mojej nieobecności na wszystkich ewentualnych rozprawach sądowych. Czy użyłam zdrady jako koronnego dowodu na rozpad więzi



małżeńskiej? Nie, ale wymieniłam ją jako jeden z powodów. Wbrew radom mojego prawnika, nie wnioskowałam o rozwód z winy mojego niewiernego męża. Tak naprawdę chodziło mi o to, by nie robić z siebie męczennicy i uzyskać szybkie, polubowne rozwiązanie parodii małżeństwa, którą był mój związek z przystojnym blondynem z północy.

Przygotowałam również Tora do dalekiej podróży, co niestety nie wzbudziło jego szczególnego entuzjazmu. O ile wizytę u psiego fryzjera i wiążące się z tym również obcięcie pazurków przyjął ze stoickim spokojem, o tyle odwiedziny u weterynarza i dokładne badania okazały się nie lada problemem. Nie dając sobie zajrzeć do uszu, zaczął walczyć z miłą, filigranową panią doktor, która ku ogromnemu zaskoczeniu zarówno mojemu, jak i mojej mamy, jednym sprawnym chwytem unieruchomiła psiaka i przeczyściła mu uszy, mrucząc w tym czasie jakieś pieszczotliwe słowa, mające udobruchać rozbrykanego nicponia. W końcu, kiedy Torowi pozwolono opuścić gabinet lekarski, wymaszerował stamtąd obrażony na cały świat i na resztę wieczoru zaszył się w kącie pokoju, skryty za fotelem, co było zupełnie do niego niepodobne.

Zanim się obejrzałam, wszystko było gotowe na powrót do Tajlandii, tym razem na oficjalnej wizie pracowniczej, która została mi przesłana przez firmę w Bangkoku. Pożegnałam się z mamą, próbując przekonać ją, że życie oraz praca w Azji to nie znak nadchodzącej apokalipsy i opuściłam dom rodzinny. Z walizkami, psim transporterem i sercem pełnym nadziei stawiałam się na lotnisku, by odlecieć w stronę zachodzącego słońca, albo, jak kto woli, do krainy tajlandzkich uśmiechów.

## Epilog

Na tym kończy się opowieść o poszukiwaniu siebie i związanych z tym procesem burzliwych tygodni mojego życia. Zmiana zapoczątkowana za sprawą kundelka.pl po prostu się dokonała. Zrozumiałam, że nie tylko sławnym i bogatym może ciążyć obrączka ślubna, będąca jedynie fasadą dla ukrytych celów jednego z małżonków. Nie mam pojęcia, skąd tak naprawdę wzięła się cała ta odwaga, której wymagało dokonanie wszystkich tych zmian. Nie mam też pewności, czy potrafiłabym ponownie przeprowadzić podobną rewolucję w moim życiu.

Wiem za to, że warto czasami ruszyć w nieznaną tylko po to, by odszukać i poznać samego siebie na nowo. Odrzucić wszystkie narzucone nam oczekiwania, stereotypy oraz role społeczne i przekonać się czy w ogóle do nas pasują. Czy czujemy się w nich dobrze, czy też stanowią jedynie przebranie, pod którym kryją się, często bezzasadne, obawy o jutro.

Jakie jest więc zakończenie mojej historii? Cóż, nie ma w nim wielkiego pałacu ani księcia ze szklanym pantofelkiem. Nie ma artykułu na plotkarskim portalu ani wzmianki w lokalnej rubryce gwiazd. Zabrakło również sesji na rajskiej plaży, którą mam niemal na wyciągnięcie ręki.

Jest za to rozwód, który w przeciągu najbliższych dwóch tygodni się uprawomocni, zamykając raz na zawsze szwedzki rozdział mojego życia.

Pustkę po utraconym, zimnym jak marmur apartamencie w Sztokholmie wypełnił w moim życiu mały domek, który niedawno kupiłam. Zarzucony pięknie zdobionymi batikowymi narzutami, poduszkami, matami i zasłonami. W jego centrum zaś znajduje się ogromna sofa, na której cztery psiaki walczą o swoje terytorium, nie dopuszczając na nią żadnego człowieka, z wyjątkiem mnie. Bardzo często w piątkę zasypiamy na niej wieczorami, podczas gdy lampa do czytania oświetla drogę naszym jasnym snom. Tor, mimo że dołączył do tajlandzkiej ferajny jako ostatni, stał się samozwańczym przywódcą stada, co zostało jednogłośnie zaakceptowane przez Szczęściarza, Larę i Bonda. Mój pieszczoł, pomiędzy kolejnymi szczeknięciami, przekazał im w psim języku, iż opiekował się mną od wielu miesięcy, przez co rola ta po prostu mu się należała.

W moim życiu jest też mała dziewczynka, która zwąc mnie ciocią, marzy dziś nie o długich blond włosach, a o karierze w międzynarodowej firmie. To właśnie po to pilnie uczy się poprawnej angielszczyzny. Jestem gotowa się założyć, że swoje pierwsze CV wyśle do korporacji, w której dziś ja pracuję, pnąc się powoli w górę, dzięki kolejnym sukcesom na swoim koncie. To właśnie za sprawą ostatniej premii mogłam stać się właścicielką tego maleńkiego domku na obrzeżach Pattaya.

Zastanawiasz się pewnie, co stało się z moim wolontariatem w obliczu

zapropionowanej mi intratnej posady. Cóż, znalazłam na niego czas, godząc obowiązki pracownika korporacji i nauczycielki wiejskiej szkoły. Nauka to podstawa, jeśli tylko jej założenia są słuszne. Nie stawiałam w niej nacisku na reguły i zasady, przemycając je jedynie w praktycznym użyciu języka w życiu codziennym. Jeśli moje działania uratują jedno z tych dzieciaków przed „ulicą”, to uznam, że było warto. Staram się też pomagać miejscowym kobietom, dla których uruchomiłam program mikro pożyczek, wzorowany na inicjatywach fundacji rozsianych po całym świecie, jednakże my pomagamy sobie tutaj wzajemnie poprzez...

– Przystaniesz wreszcie klepać w klawiaturę bez opamiętania? Nie spodziewałem się, że tak jawnie zignorujesz honorowego gościa wieczoru – zawołał Abhishek z kuchni, przerywając tym samym nasze pożegnanie, droga czytelniczko...

– Jedyne gościa wieczoru – sprostowałam szybko, zapisując jednocześnie otwarty plik na zewnętrznym czytniku pamięci.

– Szczegół! Pamiętaj, że kurczak curry już jest gotowy, pomimo że kompletnie niczego nie potrafię znaleźć w twojej kuchni!

Zaskoczona? A może się tego spodziewałaś? Cóż, nie wiem gdzie zaprowadzi mnie ta znajomość, ale na razie cieszę się z samej możliwości poznawania i obcowania z drugim człowiekiem. Żadne z nas nie naciska ani nie stara się przyśpieszyć tego, co ewentualnie może się stać. Zatrzymaliśmy się na etapie przyjaźni, co prawda z drobnymi elementami flirtu.

Wiele bym mogła opowiedzieć o aktualnych wydarzeniach, które z dnia na dzień zmieniają moje życie w komedię pomyłek, wynikającą z różnic kulturowych, mentalnych czy też geograficznych. Mogłabym, ale tego nie uczynię, bowiem jest to temat na zupełnie odmienną historię, w której łyzy smutku i osamotnienia zostały zamienione na łyzy szczęścia. Być może kiedyś i ją uda mi się opowiedzieć...

Spis treści Rozdział I Rozdział II Rozdział III Rozdział IV Rozdział V Rozdział VI  
Rozdział VII Rozdział VIII Rozdział IX Rozdział X Rozdział XI Rozdział XII  
Rozdział XIII Rozdział XIV Rozdział XV Rozdział XVI Rozdział XVII Rozdział  
XVIII Rozdział XIX Rozdział XX Rozdział XXI Rozdział XXII Epilog



KRYZYSOWY  
PLAN  
ŻYCIOWY

Monika Hołyk-Arora